

W numerze m.inn.

wszystko
o miodzie

str. 3

W. Blechar
czyli
nasz wygrywa

str. 10

BRUCE LEE
traci
przytomność

str. 12

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Kamera

Wzemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN



NR 21 (788)

9-22 października 1983

CENA 10 ZŁ



Siedem grzechów głównych uniwersytetu

Andrzej Burda

12 października — to święto Ludowego Wojska Polskiego. W tym roku będziemy obchodzić je szczególnie uroczysto: mija właśnie 40 rocznica rozpoczęcia bitwy I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki pod Lenino. Bitwie tej w przeszłości poświęciliśmy na łamach „Kamery” wiele uwagi: Alojzy Sroga przedstawił też dalsze losy bohaterów zmagających się z hitlerowską nawałą. Dziś (na str. 6—7) drukujemy fragment książki Tadeusza Jasińskiego pt. „Za człowiekiem cień”, która w przyszłym roku ukaże się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w Warszawie. (A na zdjęciu — promocja oficerów w Dęblńskiej Szkole Oficerów — fot. Waldemar Steniewicz).

WIADOMO powszechnie, jak znaczącą rolę w rozwoju naszej cywilizacji odegrały uniwersytety, które — w różnych rozmiarach i w formach — od początków swego istnienia, poprzez wieki rozwoju, aż po dzień dzisiejszy, traktowane są jako ostoja a zarazem zarzewie kultury narodowej i humanistycznych tradycji. Poniekąd prototypem uniwersytetów była Akademia Platowska, założona przez wielkiego filozofa w 387 roku (warto zaznaczyć że nastąpiło to w czterdziestym roku życia Platona), pomyslna i działająca jako związek skupiający nauczycieli i uczniów intelektualnych wyznawców szkoły mistrza, noszącej nazwę od gaju bożka Akademosa, w którym nauczyciel wykladał a uczniowie pod jego kierownictwem

prowadzili dysputy. Związek Akademii z rozwojem humanistyki był oczywisty, gdyż to właśnie Sokrates (nauczyciel Platona) skoncentrował swe zainteresowania filozoficzne nad człowiekiem mówiąc że drzewa nie mogą go nauczyć niczego ucza go natomiast ludzie i ich aktywność duchowa: zatem „zajmował się jedynie sprawami etycznymi, cała zaś przyroda nie zajmowała się wcale” (Arystoteles). Uczyl więc ludzi cnoty (aretę) a ściślej mówiąc uczył ich rozumu jako drogowskazu do cnoty. Zainteresowania humanistyczne nauczyciela przejął Platon, prezentując imponującą syntezę starogreckiej humanistyki.

Dokończenie na str. 8

Żołnierze, których wyróżniła historia

Z przemówienia Władysława Gomułki na I Zjeździe Kościuszkowców w Warszawie 12 października 1946 r.

[...] Czcimy zasługi wszystkich Polaków, którzy nie szczędzili krwi w walce o wolność. Ale z tej wielkiej armii bohaterów i bojowników należy szczególnie wyróżnić żołnierzy dywizji kościuszkowskiej, ponieważ wyróżniła ich historia. Kościuszkowcy wyróżniają się miejscem (nie zajęli w historii nowej Polski, rolę, jaką pełnili przy

jej odrodzeniu, stanowią oni symbol nowych dziejów narodu polskiego. I Dywizja zrodziła się na oryżanej nam ziemi radzieckiej jako pierwsza zalażkowa jednostka Armii Polskiej w Związku Radzieckim, z której wyrosło dzisiejsze Wojsko Polskie. Ojcem i matką dywizji był Związek Patriotów Polskich Umundurował i uzbudził ją, pomógł w organizacji i wy-

szkoleniu rząd Związku Radzieckiego. Historia dotychczasowa znana oolskie formacje na ziemi rosyjskiej ale tylko jako formacje wrogie, walczące z wojskami rosyjskimi. Fakt powstania I Dywizji jako sojusznicej oolskiej jednostki wojskowej mającej razem z Armią Radziecką walczyć z Niemcami o wyzwolenie Polski świadczy o głębokim epokowym przełomie w sto-

sunkach polsko-rosyjskich. Dojrzał historyczny czas porozumienia Polski i Związku Radzieckiego w obliczu germańskiej nawały. [...] Pierwszy bój pod Lenino w którym w ziemi słowiańskiej na Wschodzie wstąpiła krew żołnierza polskiego i radzieckiego wpłynął na kształtowa-

Dokończenie na str. 2

DEPESZE I LISTY GRATULACYJNE W POŁWIECZE „KAMENY”

Towarzysz
Marek Adam Jaworski
Redaktor Naczelny „Kamena”
Lublin

Z okazji 50-lecia „Kamena” w imieniu Zarządu RSW „Prasa-Książka-Ruch”, a także własnym, pragnę złożyć Towarzyszowi Redaktorowi i całemu zespołowi redakcyjnemu najserdeczniejsze gratulacje.

Pięćdziesięcioletni dorobek twórczy „Kamena” znalazł trwałe miejsce w pejzażu społeczno-kulturalnym regionu i kraju, spełniając istotną rolę kulturotwórczą.

Za wieloletnią zaangażowaną i twórczą działalność dziennikarską i organizatorską pragnę Wam, Towarzyszu Redaktorze, oraz całemu zespołowi pracowniczemu — dziennikarzom, pracownikom redakcyjno-technicznym i administracyjnym serdecznie podziękować. Życzę jednocześnie dalszych osiągnięć w pracy zawodowej, jak największej satysfakcji z wykonywania stawianych przed Wami zadań, a także wszelkiej pomyślności w życiu osobistym.

Zdzisław Andruszkiewicz
Prezes Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej
„Prasa — Książka — Ruch”

Zespół Redakcyjny „Kamena”

Z okazji Jubileuszu 50-lecia Waszego pisma w imieniu Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i swoim własnym składam całemu Zespołowi Redakcyjnemu serdeczne gratulacje.

Wyrażamy wszystkim tym, których codzienny twórczy trud składa się na powstanie, dzisiejsze oblicze i rozwój pisma krzewiącego umiłowanie do kultury narodowej, niosącego humanistyczne idee socjalizmu — wyrazy szacunku i uznania.

Jesteśmy przekonani, że Wasza dalsza zaangażowana działalność popularyzująca i dokumentująca bogate życie społeczno-kulturalne Lubelszczyzny skupiać będzie wokół pisma szerokie rzesze czytelników.

W dniu Waszego pięknego Jubileuszu przyjmijcie najserdeczniejsze podziękowania i życzenia dalszych sukcesów oraz pomyślności w życiu osobistym.

Wiesław Skrzydło
I sekretarz KW PZPR
w Lublinie

Zespół Redakcyjny
Dwutygodnika
Społeczno-Kulturalnego „Kamena”

Proszę przyjąć najserdeczniejsze gratulacje i najlepsze życzenia z okazji Jubileuszu 50-lecia Waszego czasopisma „Kamena”.

Ze szczerym uznaniem i szacunkiem odnoszę się do Waszej wieloletniej, rzetelnej pracy dziennikarskiej, a także zasług, jakie wnosicie w rozwój społeczny, kulturalny i polityczny Lubelszczyzny, w rozwój socjalistycznej Polski Ludowej.

Dwutygodnik „Kamena” zawsze był znaczącą obecnością w życiu literackim ziemi lubelskiej, zawsze wiernie towarzyszył przeobrażeniom, pomyślnym i trudnym okresom współczesnej rzeczywistości, szczególnie naszego regionu.

Za ofiarny wysiłek, liczne sukcesy zawodowe, a przede wszystkim odpowiedzialną służbę społeczną gorąco dziękuję.

Życzę jednocześnie, aby Wasza praca cieszyła się nadal szacunkiem i poważaniem społeczeństwa oraz przysparzała Wam nowych, licznych czytelników.

Wszystkim członkom Zespołu Redakcyjnego ży-

czę również wszelkiej pomyślności, zdrowia oraz wielu sukcesów w życiu zawodowym i prywatnym.
Tadeusz Wilk
Wojewoda Lubelski

Towarzysz
Mgr Marek Adam Jaworski
Redaktor Naczelny „Kamena”

W imieniu funkcjonariuszy Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Lublinie mamy zaszczyt przekazać serdeczne, żołnierskie pozdrowienia.

Dostojni Jubilaci! W tym roku przypada Złoty Jubileusz półwiecza znanego nam wszystkim pisma — „Kamena”. W swych treściach zajmowało ono i zajmuje pryncypialne stanowisko w sprawach politycznych, społecznych i kulturalnych. Stąd też mamy zaszczyt w imieniu podoficerów i oficerów oraz aktywnego kierowniczego — stałych czytelników „Kamena” — przekazać całemu Zespołowi Redakcyjnemu gratulacje i pozdrowienia.

Przyjmijcie, Dostojni Jubilaci, życzenia wszelkiej pomyślności w życiu rodzinnym i osobistym.
gen. bryg. Bernard Naręgowski
Szef Wojewódzkiego Urzędu
Spraw Wewnętrznych w Lublinie
ppłk. mgr Aleksander Chochołowski
Z-ca Szefa Wojewódzkiego Urzędu
Spraw Wewnętrznych w Lublinie

Tow. Marek Adam Jaworski
Redakcja „Kamena”
Lublin

Z całego serca od Żony i od siebie składamy Ci i całej załodze zasłużonej „Kamena” gratulacje z okazji 50-lecia pisma. Życzymy dalszych sukcesów w oddziaływaniu na społeczność Lubelszczyzny.

Brakuje nam nam tu, w Kijowie, naszej „Kamena”.

Tobie, Marku, ponadto dużo zdrowia i satysfakcji.

Władysław Kruk
Konsul PRL w Kijowie

Zespół Redakcyjny „Kamena”
Lublin — PRL

Drodzy Przyjaciele! Z całego serca pozdrawiamy Was z okazji Jubileuszu 50-lecia „Kamena”, która tak bardzo przyczyniła się do upowszechnienia najlepszych utworów pisarzy i do popularyzacji działalności kultury Lubelszczyzny i całej Polski, „Kamena”, która toczy bezwzględnie walkę z przejawami ideologii burżuazyjnej.

Wysoko oceniamy fakt, że jeszcze w trudnych latach przedwojennych na łamach „Kamena” ukazywały się tłumaczenia utworów pisarzy radzieckich.

Miło nam też podkreślić, że współczesna „Kamena” pomnaża i rozwija swe chlubne tradycje.

Drodzy Przyjaciele! Życzymy Wam dalszych twórczych sukcesów, szczęścia osobistego i wszelkiej pomyślności. Niech zawsze Wasze słowo służy wielkim ideałom socjalizmu i szlachetnej sprawie przyjaźni radziecko-polskiej, sprawie pokoju na całym świecie.

Zespół Redakcyjny
gazety „Radianska Wołyń”
Luck

Całemu Zespołowi „Kamena” ślemy gorące życzenia z okazji 50 lat twórczej działalności wdzięczni za poświęcanie wnikliwej uwagi wszelkim poczynaniom Teatru.

Zespół Teatru im. Juliusza Osterwy
w Lublinie

Pan
Redaktor Marek Adam Jaworski
Redaktor Naczelny „Kamena”
w Lublinie

Wielce Szanowny Panie Redaktorze, proszę o przyjęcie najserdeczniejszych gratulacji z okazji Złotego Jubileuszu „Kamena” oraz takich życzeń najpełniejszego JEJ rozkwitu w następnym pięćdziesięcioleciu.

Jednocześnie życzę Panu, Panie Redaktorze, wszelkiej pomyślności w sterowaniu „Kamena” — Dzieckiem Ojca Pańskiego — oraz satysfakcji z Jego dokonań i wiele szczęścia w życiu osobistym.

Za Dyrekcję Polonijnego Centrum
Kulturalno-Oświatowego UMCS
Doc. dr Władysław Kucharski
Dyrektor

Pan
Marek Adam Jaworski
Redaktor Naczelny
Dwutygodnika „Kamena”
w Lublinie

Szanowny Panie Redaktorze!

Z okazji Jubileuszu pięćdziesięciolecia Waszego pisma składam Panu i całemu Zespołowi „Kamena” serdeczne gratulacje w imieniu zespołu „Profilów”.

Życzymy Wam powodzenia w twórczej kontynuacji szczytnych tradycji pisma w nowym jego kształcie programowym i formie edytorskiej, życzymy pełnej realizacji redakcyjnych planów i zyskania licznych rzesz czytelników na miarę Waszych ambitnych zamierzeń.

Ze zespół „Profilów”
Daniel Czarnała
Redaktor Naczelny

Pan Marek Adam Jaworski
„Kamena” — Lublin — Polska

Szanowny Panie Redaktorze! Nie chce się wierzyć, że „Kamena” stuknęło już lat pięćdziesiąt. Wielki kawał życia i wielki okres historii — burzliwej, chmurnej i pogodnej.

Znam „Kamena” przedwojenną, znam i dzisiejszą, którą od czasu do czasu czytam i tu, w Londynie, gdzie zamieszkałem po wojnie. „Kamena” zbliża mi Polskę i miejsce, w którym upłynęła moja młodość. Nie zawsze zgadzam się z tym, co pisze, czasem miałbym ochotę posprzeczać się o niego, ale bardziej — choć z innych powodów — denerwują mnie różne paszkwile emigracyjnych żurnalistów, stąpających raczej po Księgycu niż po Ziemi. Jestem jak ten kot Kiplinga, który chadza własnymi drogami, ale którego nęka tęsknota za ojczystym domem, za wierzwą nadwiślańską, za sosną z Borów Tucholskich...

Żyję daleko od Was, ale i blisko. Daleko — terytorialnie, blisko — myślami. Blisko, coraz bliżej, im lat ubywa...

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, życzenia wszelkiej pomyślności.

J. Mazurkiewicz
Londyn

Żołnierze, których wyróżniła historia

Dokończenie ze str. 1

nie się myśli politycznej, która legła u podstaw odrodzonej Polski demokratycznej. Na tym polega historyczna zasługa kościuszkowców.

[...] Armia Polska w Związku Radzieckim, której fundamentem była i Dywizja, wybitnie przyspieszyła zorganizowanie Wojska Polskiego z chwilą wkroczenia tej armii na ziemię ojczystą. Gdyby nie było i Dywizji, i Armii Polskiej w Związku Radzieckim, zorganizowanie Wojska Polskiego opóźniłoby się co najmniej o rok i naród nasz nie posiadałby zorganizowanego wojska w momencie, gdy toczyła się wojna na jego ziemiach i decydowały się jego losy. Nie byłoby wówczas wkładu krwi żołnierzy polskich w

działanie wyzwolenia i świadomość, iż niepodległość otrzymaliśmy jedynie z rąk sojusznika, musiałaby nas palić wstydem i boleścią.

Bez dywizji kościuszkowskiej i bez Armii Polskiej szanse demokracji polskiej w dniach lipcowych 1944 r. byłyby poważnie zmniejszone. Jeśli dziś ze słuszną dumą mówimy o wkładzie Wojska Polskiego w wyzwolenie kraju i pokonanie wroga niemieckiego, jeśli do wszystkich praw Polski do Ziemi Odzyskanych dołączyć możemy walkę i krew żołnierza polskiego przelaną

nad Odrą i Nysą, to zawdzięczamy to przede wszystkim wam, Kościuszkowcy.

Po raz pierwszy w historii żołnierze

polscy, Kościuszkowcy, weszli do Berlina jako zwycięzcy. Cześć wam i sława za to. Chlubne tradycje Kościuszkowców przejdą do skarbnicy najświetniejszych tradycji Wojska Polskiego.

[...] Z zastępów i Dywizji wyrosły kierownicze kadry nowej Polski. Ci, którzy zostali zdemobilizowani, nie przestali być żołnierzami, pracując nad

zbudowaniem takiej Polski, o jaką walczyli.

Walka trwa nadal, skończyła się wprawdzie walka z Niemcami o wyzwolenie Polski, lecz nie skończyła się walka z reakcją o nową Polskę.

Nie przestali jeszcze działać i szkodzić te elementy, które rzuciły kłody pod nogi dywizji kościuszkowskiej i Wojsku Polskiemu. Część z nich działa w podziemiu, organizując dywersje i mordy; część przybrałszy maskę demokratów, rozbiła jedność narodu, uprawia politykę destrukcyjną opozycji i szuka pomocy u reakcyjnych protektorów na Zachodzie. Oweczema ich akcja zbankrutowała; taki sam los spotka i teraz fałszywych obrońców demokracji. Dopomoga do tego Kościuszkowcy. Polska pójdzie naprzód po tej drodze, po której szli i idą nieugięci bohaterzy, legendarni i sławą okryci żołnierze Kościuszkowcy.

„Kamena” i jej twórcy

Pod takim hasłem odbędzie się 21—22 października sesja popularnonaukowa w ełmskim Wojewódzkim Domu Kultury. Początek o godz. 10. Zapraszamy.

OBITOSC miodu na półkach sklepowych to jeden z paradoksów obecnego rynku. Jeszcze rok temu znikalo ze sklepów wszystko, co nadawalo się do zjedzenia i miod nie stanowił tu żadnego wyjątku, choć jego cena rynkowa, a zwłaszcza wolnorynkowa, pila się w górę razem z cenami innych artykułów spożywczych. Teraz miod jest w każdym sklepie spożywczym. Zaleca się go także w postaci miodów pitnych oraz przeróżnych miodovitów i innych napojów. Atmosferę pełnego miodosytu pieczętuje także obecność miodów importowanych — chińskiego i kubańskiego; jakby ograniczenia importowo-dewizowe w tym artykule nie istniały i nie obowiązywały.

Konsumenta trochę to dziwi, a może i denerwuje. Spróbujmy więc spojrzeć z bliska na ten sympatyczny fenomen obfitości. Z bliska, to znaczy od strony produkcji i przetwórstwa miodu; sytuacji pszczelarstwa w kraju i poza nim; wreszcie od strony problemów warunkujących obecny i przyszły byt pszczelarstwa.

Miodowy fenomen obfitości godzi się wyjaśnić na początku. Otóż, jak zapewniają specjaliści, od 100 lat nie było trzech kolejno po sobie występujących, tak dobrego i bardzo dobrego, zbiorów miodów, jak w trzech ostatnich sezonach. Tegoroczne zbioru, jak stwierdzono na odbytym niedawno światowym kongresie narodowych związków pszczelarskich w Budapeszcie, były dobre w całej Europie. Korzystne były też w Polsce. Dali miod kolejno: wiosenne kwitnienia, rzepak, trochę słabiej gryki, a także koniczyzny. Tu i ówdzie zebrano też, co zdarza się co kilka lat i tylko miejscami, miod spadziowy, a sucha jesień stwarza warunki do zbioru miodu wrzosowego.

Trzy lata dające dobre warunki do kwitnienia roślin oraz dla pracy pszczół zbiegły się z wyraznym zahamowaniem zaturu pszczół, powodowanych przez opryski przeciw szkodnikom i chorobom roślin. Złośliwi twierdzą, że spowodował to krwizysowy brak preparatów o największej toksyczności, ale z pewnością jest to, głównie rezultat uświadamiającej pracy służby rolnej oraz wieloletniego narzucania rolnictwu karno-administracyjnych rygorów ochronnych. Rola pszczół w zapianiu roślin, a zatem w łańcuchu biologiczno-ekologicznym, przestała być frazesem. Dla potencjalnych trucicieli nieczułych na tę rolę stworzono ów system kar — materialnej odpowiedzialności za szkody. Inna rzecz, iż egzekwowanie tych kar, to znaczy procesowe ściganie i dowodzenie winy, staje się tu z reguły paradą zwodów i kruczeń w prawnych. Trucicielami są bowiem z reguły przedsiębiorstwa państwowe świadczące usługi w zakresie oprysków.

W końcu jednak zbioru miodu nie są w omawianych trzech sezonach na tyle znakomite, aby były bezpośrednią przyczyną obecnej nadprodukcji miodu. Do jej powstania „dolożyły się” inne okoliczności.

Jedną z nich było przetrzymywanie miodu przez pszczelarzy w ostatnich dwóch latach jako naturalnej, bezpiecznej lokaty kapitału. Coś takiego istniało też w dziedzinie zboża — kto interesuje się cenami piodów rolnych ten wie, że w ubiegłym roku zaczęła brakować zboża nawet na pieczywo, które przecież zabiera zaledwie kilkanaście proc. plonów zbóż. Cena państwowa zboża wynosiła około 1400 zł, a rynkowa 3—3,5 tys. zł.

Pszczelarze wiedzieli co robią, przetrzymując miod. Ceny miodu praktycznie stały w miejscu od 20 lat. Nagły wulkan cen i dewaluacji nie mógł ominąć miodu. I tak się stało. Cena skupowa tego produktu nagle, jednorazowo, prawie podwoiła się. Ruszono więc z tonami słodkiego kapitału do punktów skupu. Tym bardziej ochoczo, że nowy sezon zapowiadał się znów korzystnie.

Tak było od początku ubiegłego roku. Po roku do punktów skupu ruszono z pozostałymi zapasami i nowymi zbiorami — z powodu zupełnie odwrotnego. Poszła bowiem w ludęk pszczelarski szpetna wieść, że na skutek wygłędzonych półek sklepowych cena ma — po raz pierwszy w powojennej historii pszczelarstwa — ulec zmniejszeniu, bowiem widok małego siołeczka z ceną 200 złotych praktycznie czyni miod delikatesem dość ekskluzywnym, raczej „lekarstwowym” niż konsumpcyjnym. Jeśli zaś cena nie zostanie zniżona, to tym bardziej nie ulegnie zwiększeniu, a więc tak czy owak, nie ma sensu dalsze przetrzymywanie miodu.

Te spekulacje oraz ich skutki nie wyczerpują tematu. W rozważaniach o aktualnej sytuacji rynkowej miodu nie można pominąć sprawy fałszowania tego produktu przez pszczelarzy. To problem stary jak samo pszczelarstwo, z tym jednak, że w ostatnich latach nabral „rumieńców” na styku cen miodu oraz cen i reglamentacji cukru. Różnica między ceną cukru a ceną miodu jest bardzo zachęcająca do machlojek. Cukru jednak brakuje: skąd go wziąć?

Z pośrednią pomocą fałszersom przyszła sama spółdzielczość ogrodniczo-pszczelarska. Otóż, po wprowadzeniu reglamentacji cukru, wprowadzono zasadę, że na karmienie zimowe jednej rodziny pszczołowej przysługuje około 10 kg cukru. Była to zasada słuszna, ale trudna do przestrzegania: natychmiast „ozylły” tysiące uli od wielu lat stojących pusto w pokrzywach. Ruszyły społeczno-urzędowe komisje do ich weryfikacji, posypały się kary za próby wyludzenia cukru, wybuchły waśnie między pszczelarzami za zawyżanie wielkości pastek itp. W tej sytuacji wprowadzono inną zasadę: przydziału cukru dla pszczelarzy — 1,5 kilograma cukru za jeden kilogram miodu.

Stalo się to, niestety, kolejną zachętą dla fałszery: im więcej miodu, tym więcej cukru, im więcej cukru, tym więcej miodu. Z „technologicznego” punktu widzenia sprawa jest prosta — wystarczy poddać pszczołom płynny syrop, aby porzuciły dlań najbardziej atrakcyjny naturalny pożytek; produkcja „miodu” rusza lawinowo.

W rejestrach skupu pojawili się prawdziwi potentaci miodobrania, „kominarze” o zdumiewają-

cej wydajności z pasiek o liczebności 50—80—100 rodzin. To szło w tony, a zatem w miliony złotych. Trwa kilka, zaledwie kilka, dochodzeń w sprawie miodocukrowych ewidentnych afer w skali kraju: fałszerstw bezcelnych, robionych „na chłama”. Ale nie one, niestety, stanowią o istocie i skali problemu. Idzie tu o fałszerstwa chytne, małe, ostrożne, ciche, trudne do wykrycia. Idzie tu po prostu o szanse pożycia miodu prawdziwego lub minimalnie podrobionego.

W tej konkretnej sprawie rozmawiałem w Centrali Spółdzielni Ogrodniczych i Pszczelarskich. W konkluzji stwierdzają tam: „Tak, fałszerstwa narastają niepokojąco. Tradycyjne regiony fałszerstw to: zamojskie, chełmskie (ostatnio), tarnobrzescie, białostockie, szczecińskie. Wiemy o tym,

**NIE SIEJE
NIE ORZE
A ZBIERA**

Henryk Pająk

że fałszuje się miodu, ale my, jako instytucja skupująca, mamy niewielki wpływ na zahamowanie tego procederu. Trzeba zmienić metody klasyfikacji miodu na punktach odbioru. Możliwości organoleptyczne ludzi ze skupu są zawodne.”

— Czy nie ma sposobów na to, aby laboratoryjnie określić oryginalność skupowanego miodu? — pytanie to stawiam wybitnemu specjalście, szefowi oddziału Pszczelarstwa Instytutu Weterynarii w Puławach, prof. Leonowi Bornusowi.

— Owszem — odpowiada prof. Bornus. — Metoda taka istnieje. Jest to, nie jedyna zresztą, metoda analizy pyłkowej, polegająca na tym, że w badanym miodzie musi znajdować się odpowiednia ilość pyłków kwiatowych. Inny sposób, to przeszerzanie granicy sacharozy — ta nie może przekraczać 5 proc., chociaż, w niektórych przypadkach, u nas raczej niespotykanych, może sięgać 10—12 proc. Tak jest w miodach akacjowych, np. na Węgrzech, gdzie w sprzyjających okolicznościach dzienny pożytek rodziny pszczołowej sięga kilkunastu kilogramów, a wtedy pszczoły nie mogą wydzielić takiej ilości enzymu — tzw. alfa-amelazy, który rozkłada sacharozę na cukry proste. W Polsce naturalna zawartość sacharozy w miodzie nie przekracza 2,5 proc. Problem sprowadza się do możliwości technicznych — aby robić analizy pyłkowe miodów otrzymywanych od tysięcy pszczelarzy, potrzebne są dziesiątki laboratoriów. Rzeczywistość jest taka, że w spółdzielczości ogrodniczo-pszczelarskiej ten sam człowiek skupuje jednocześnie miod oraz jabłka i kapuście. Tylko w niektórych rozlewniach miodu zdarzają się fantastycznie czuli kiperzy, przez których nie przejdzie podrobiony miod.

Nieufność konsumenta do miodu jest powszechna. Jest to głównie nieufność do miodu „sklepowego”. W ubiegłym roku płacono po 200 zł za miod od zaufanego pszczelarza — prawie o połowę drożej niż za miod w handlu uspołecznionym. Jest to rezultat zarówno przykrych doświadczeń z miodem „sklepowym”, jak też skutek mylnych wyobrażeń i kryteriów krążących na temat miodu prawdziwego i fałszywego.

Główna pomyłka dotyczy konsystencji miodu. Sądzi się niemal powszechnie, że miod skryształizowany, stały, jest miodem podejrzany, a prawdziwy jest tylko rzadki, siekły. Dzieje się właśnie na odwrót. Miod w kilka, najpóźniej kilkanaście tygodni po zbiorze, musi skryształizować. Istnieje tylko kilka przykładów zachowania trwale ciekłej konsystencji. Jak podaje prof. Bornus, nie krystalizuje np. miod węgierski — gdyż w 70 proc. pochodzi z akacji; nie krystalizuje miod z kwiatu wiśni, ale wiśnia słabo nektaruje i nigdy nie udaje się zabrać miodu tylko wiśniowego; nie krystalizują miody lipowe z Sulechowa w Zielonogórskim,

co stanowi ciekawostkową anomalię o znikomym zasięgu.

Tymczasem miod w handlu jest nawet zimą ciekły. Dlaczego?

Jest to miod do pewnego stopnia zepsuty w rozlewniach. Tam dokonuje się tzw. standaryzacji. Polega ona na tym, że beczki ze skryształizowanym miodem podgrzewa się, aby potem można było rozlać miod do siołków. Jeżeli temperatura miodu przekroczy 44 stopnie, wówczas zostają unieczynnione składniki biologiczne decydujące o naturalnych, odżywczych, a nawet leczniczych właściwościach miodu. Traci on wówczas na stałe możliwość osiągnięcia struktury krystalicznej. W rozlewniach w Krakowie, Lublinie i Poznaniu są od kilkunastu lat zamiatowane rejestratory — urządzenia termiczne nie pozwalające na przekroczenie bariery termicznej podczas standaryzacji. Jeżeli są sprawne; jeżeli przestrzega się norm termicznych, to staje generalne pytanie — dlaczego po standaryzacji miod nie odzyskuje już swoich naturalnych właściwości?

Te zasady i wymagania, biorące swój początek w biologii pszczoły i miodu, nie zawsze pozostają w zgodzie z wyobrażeniami konsumenta i atrakcyjnością handlową. Sięgnijmy po dwa przykłady: przed niewielu laty miod spadziowy (będący przecież wydzieliną mszy) uchodził za miod pośledniego gatunku. Dziś jest najdroższy i najbardziej poszukiwany. Drugi przykład: w Stanach Zjednoczonych konsument ceni tylko miod rzadki i przezroczysty, toteż tam podczas standaryzacji bez żadnych ceregieli grzeje się miod do 100 stopni! Znamienne przy tym, że polscy emigranci, Polonia starej daty jest święcie przekonana, że miody amerykańskie nie są wprawdzie „oszukane”, sfalszowane, ale nie mają żadnej wartości! Proszę więc rodzinę ze starej ojczyzny o przysłanie siołka „prawdziwego” miodu i wielce go sobie cenić.

Polskie przepisy celne przytomnie więc wkroczyły w sprawę, zabraniając prywatnej wysyłki miodu. Poszły w sukurs państwowemu eksportowi miodu (który od kilku lat praktycznie nie istnieje), jakby nie wiedzieli, że wdzięczny Polonus odwrotną pocztą z reguły się do kraju kopertę z Franklincem, Lincolnem, czy Waszyngtonem — który, tak czy owak, wylądował kiedyś w kasie Pewexu!

Wspaniały okres zmartwień z nadmiarem miodu będzie też inne wątpliwości klientów. Np. dlaczego w tej sytuacji jeszcze importuje się miod z Kuby, Chin? Są to miody zdecydowanie niesmaczne, przy czym tylko nieliczni wiedzą, dlaczego są niesmaczne. Otóż miod kubański pochodzi głównie z cukru: po ścięciu trzciny cukrowej, narodowej rośliny tego kraju, piod przez jakiś czas nadal wydziela cukier, na który rzucają się pszczoły. Natomiast miod chiński zawiera dużo zanieczyszczeń naturalnych, po prostu ziemi oraz związków żelaza. Importuje się te miody, na szczęście w niewielkich ilościach, w ramach tzw. transakcji widzanych, robionych przez instytucje, przeważnie nie mające nic wspólnego z pszczelarstwem. Na tej samej zasadzie pojawia się u nas sam cukier kubański, erzęsto w kostkach. Taka kostka ma te zalety, że przez kwadrans nie rozpada się w herbatce...

Okres zaskakującego nadrodzaju miodowego niechybnie skończy się. Jeśli idzie o nadmiar miodu już istniejącego, to właśnie w Ministerstwie Rolnictwa odbyła się niedawno narada, na której szukano sposobów zbytu nadmiaru miodu. Kierunek: pierniki, miody pitne, napoje miodowe, w minimalnym stopniu eksport. To rozładuje magazyny, półki sklepowe z zapasów, natomiast dalszą perspektywę zięgodzi z pewnością sama natura. Trzydzienny urodzaj stulecia nie potrwa długo — tego uczy sama statystyka. Ponadto nad pszczelarstwem europejskim zawisło kolejne niebezpieczeństwo. Nieśie je groźny pasożyt zwany warrozą. Przywędrował z Kaukazu wraz z importowaną do Europy maską kaukaską, której pszczoły, jedyny wśród innych, mają języczek dłuższy o około 0,2 mm i sięgają po nektar do dna kielicha koniczyzny, rośliny nadzwyczaj miododajnej, ale niedostępnej dla pszczoł o krótszym języczku.

Warroza nieleczona niszczy już całe pasieki w wielu krajach. Radykalnych lekarstw jeszcze nie ma. Jest tzw. amitraz, preparat, który posiada jednak działanie uboczne, a przy tym nie jest w pełni skuteczny. Próbuje się zwalczania tego pasożyta przez podkładanie specjalnych pastrow trutowych, gdyż legnie się on głównie w komórkach trutowych. Są to jednak mgody i środki na razie nieskuteczne, a ponadto żmudne, co niemal gwarantuje zniszczenie pasiek małych, prowadzonych niestarannie, czy też pozostawionych samym sobie.

Te zagrożenia stanowią jakby naturalny odruch przyrody w odpowiedzi na zjawisko, które w języku fachowym nazywa się przepszczeniem. Wyżokie ceny miodu, trzydzienna stabilizacja dobrych zbiorów wywołały ogromne zainteresowanie pszczelarstwem wśród ludzi mających dotąd niewiele lub nie wspólne z tą dziedziną. Prawdziwie owczy pęd ku pszczelarstwu panuje wśród tzw. inteligencji pracującej. Wielu gorączkowo poszukuje uli, rodzin pszczoł, słowem chce „zakładać” pasieki. Trzeba przyznać, że jak dotąd, praktyka dowodzi, iż najlepiej uprawiają pszczelarstwo ludzie z wykryciem i średnim wykształceniem, ale ci, którzy chcą się w ich ślady, nie biorą pod uwagę, że tamci stanowią elitę surowo wyselekcjonowaną przez rygor i wymogi tej niesłychanie trudnej specjalności; że to nieliczni, którzy wytrwali. Wśród nowych kandydatów z pewnością znajduje się wielu, którym głównie przyświeca blask cen, zbiorów i dochodów pszczelarstwa z ostatnich lat. Mogą się srogo zawieść — przepowiadają ponuro pszczelarze o rodowodach z dziada pradziada.

Ale to ludzie „trudni”, klan zamknięty w sobie, współczesna szlachta zagrodowa rolnictwa. Pytanie tylko, jedno z wielu w tym temacie: czy pszczelarz to rolnik? Nie sieje, nie orze, a zbiera.

Już wiem: pasożyt!

PS. Oczekuję na listy z pogrozkami z zapewnieniem w rodzaju: ja nie podrabiam miodu! Oczywiście dotyczy to tylko tych, którzy podrabiają z umiarem. Fałszersz sledzą eicho.

H. P.

kamena

3

Wyjście z Zamku

MYSŁĘ dobroduszenie, że „Wstęp do Zamku” z nr 18 „Kamery” spełnił swoje zadanie i powstrzymał amatorów sztuki przed ewentualną podróżą do Szczecina celem obejrzenia X Prezentacji Malarzy Krajów Socjalistycznych. Charakterystyczną twórczość niektórych uczestników imprezy, nie oceniałem co prawda ich obrazów, ale sądzę, że nawet z tych krótkich opisów wylaniał się pejzaż sztuki zwyczajnie nudnej, nie stawiającej poważniejszych problemów estetycznych i poznawczych. Nie da się ukryć, kiepska to była wystawa, a tej generalnej opinii nie jest chyba w stanie złagodzić fakt obecności w Zamku Książąt Pomorskich dwóch (trzech?) artystów rzeczywiście wartych uwagi, wśród nich — Edwarda Dwurnika, który zresztą pokazał sporo prac już dobrze znanych w kraju.

Gdyby tak spojrzeć na sprawę w perspektywie historycznej, poczynając od roku pierwszych Prezentacji (1965), dojdzie się do wniosku, że wystawy raz były lepsze, raz gorsze, czasami nawet bardzo dobre, ale cała impreza nigdy nie zyskała wysokiej rangi, choć

stanowi jedyne tego rodzaju międzynarodowe spotkanie artystyczne w krajach socjalistycznych, urządzone pod auspicjami ministerstw i związków twórczych. Jakimś przyczynkiem do tej kwestii może być fakt, że na otwarciu tegorocznej wystawy przemawiał, owszem, nasz minister kultury i sztuki, ale na późniejszym sympozjum krytyków pojawiło się tylko czworo członków 15-osobowego komitetu organizacyjnego — szczecinian zresztą. Jeśli nawet kilka osób z tej doborowej piątnastki nie miało powodu przysłuchiwać się wymianie poglądów pomiędzy krytykami z Polski, Bułgarii, NRD i Związku Radzieckiego, to czym usprawiedliwić nieobecność na sympozjum niektórych z ich kolegów, którzy posiadają pewien wpływ na instytucjonalną egzystencję sztuki polskiej i jej miejsce w świecie? Czyżby wszyscy byli „na zwolnieniu” (lekarzom) lub udali się właśnie do Paryża, by nawiązać reportaży dla telewizyjnego „Pegaza”, który zresztą zlekceważył imprezę szczecińską, choć jako problem z obszaru współpracy kulturalnej krajów socjalistycznych zasługiwała na inne potraktowanie. Kiepska realiza-

cja mądrej idei nie powinna chyba spychać całej sprawy w rejonu wadliwego milczenia czy zdawkowej, kurtuazyjnej informacji faktograficznej. Tym bardziej, że podczas wspomnianego sympozjum postawiono niejedną trafną diagnozę i sformułowano sporo rzeczowych wniosków, mających na uwadze dobro przyszłych Prezentacji. Spotkanie krytyków także, co prawda, przygotowano z wdziękiem amatorskim, ale ostatecznie ten właśnie fragment całej imprezy można uznać za najbardziej pożyteczny. Dyskutowano właściwie o wszystkim, co wiąże się z sytuacją sztuki i krytyki w krajach socjalistycznych, ciągle przecież powracając do kwestii programowych i organizacyjnych Prezentacji, ujmując je w różnej perspektywie, nierzadko bardzo szerokiej. O tym, że do zabrania głosu nie trzeba było nikogo zachęcać, niech świadczy objętość stenogramu obrad: 90 stron maszynopisu. Ważne, że w tym dokumencie nie ma „waty”, frazesów, wodolejstwa czy taniach grzeczności. Zwróćmy zresztą uwagę na wystąpienie Galiny Pietniewej, członkini moskiewskiego związku krytyków sztuki, który liczy — bagatelnie — 300 osób.

„Kardynalny problem dzisiejszych czasów to znalezienie dróg wzajemnego zrozumienia, usłyszenia racji innego człowieka” — zaczęła Pietniewa. Tymczasem środowisko artystów radzieckich odczuwa „ostry deficyt wiedzy o tym, co robią koledzy z innych krajów socjalistycznych” i vice versa. Informacje na ten temat są przypadkowe i wycinkowe. „Krótko mówiąc, okres wzajemnego oddziaływania na siebie fałszywych sądów i konwencji nie zakończył się i nie zamierza sam przez się zakończyć”. Prasa, „nawet specjalistyczna”, nie interesuje się żywiej imprezami w ramach wymiany artystycznej między naszymi krajami. „Czy to samym imprezom brakuje odpowiedniego rozgłosu, a ich programom — aktualności?”

Uwagi Pietniewej wskazują pośrednio na główne źródło nikłego prestiżu

Prezentacji, które kiedyś, jako inicjatywa koleżeńskich grupy szczecińskich malarzy i poetów, zapowiadały się niezłe, by później, po nadaniu im charakteru oficjalnego, zamulić się w klimacie „fałszywych sądów i konwencji”. Jeżeli zaufać Jerzemu Jurczykowi, który niemalże od początku obserwuje wystawę, nasi partnerzy z krajów socjalistycznych nie zawsze manifestują odpowiedni stosunek do Prezentacji. „Sama ranga imprezy jest dość niska, jeżeli uczestnicy z innych krajów traktują nas dość lekceważąco, przysyłając nie zawsze pierwszy garnitur artystów. Są to nieraz trzeciorzędni malarze i dziwi mnie, że są wysyłani do Szczecina”.

Warto však zauważyć, że dla samych artystów i krytyków Prezentacje zdają się być atrakcyjne. Na pewno dotyczy to Bułgarów, którzy kierują nad Odrę malarzy na ogół interesujących. „Możemy więcej przysyłać — stwierdził Dymitr Dymitrow — ale w obecnych warunkach na pierwszym miejscu jest chyba walka o utrzymanie imprezy, a nie wiem, czy są możliwości do jej rozszerzenia. Osobiście jestem zadowolony, że impreza się umocniła, że istnieje. Bo były glosy dwa lata temu, czy nie należałoby jej zlikwidować. Ponieważ nie było wówczas takiej „ciężkiej artylerii” jak obecnie polskiej [mowa o grupie naszych krytyków — uw. aut.], to myślny z Bo-rysem Bernsteinem musieli takim likwidatorskim zapędem się przeciwstawiać”. Było to, dodajmy, w połowie gorącego 1981 roku. Dymitrow napomknął jeszcze, że „przyjazd do Polski jest uważany za jakiegoś beneficjum” i krytycy bułgarscy ubiegają się o paszport do Szczecina.

Uczestnicy sympozjum sformułowali sporo postulatów i jeden generalny wniosek pod adresem organizatorów Prezentacji. Jeśli ich nie zrealizujemy, impreza nadal będzie — taka sobie.

IJK

Ekran i widz

Pani Latter w opalach

JAK to intelektualnie mieni się i brznii — ów wywód Marii Brzostowieckiej na łamach „Filmowego Serwisu Prasowego”: „Nowy film Stanisława Różewicza wydaje się być ujmującym przykładem skromności reżysera, który potrafi usunąć się w cień, zrezygnować z manifestowania każdą wypowiedzią własnego stylu, by poprzez realność ekranu osiągnąć optymalne zbliżenie do literackiego pierwowzoru. W ten sposób reżyser także objawia własny styl, tyle że zadanie ma jakby trudniejsze. W rezultacie „Pensja pani Latter” to jeszcze jeden zwrot kina dzisiejszego ku perfekcyjności jego przekładów literatury. Film w tym zakresie spełnia oczekiwania widza, który nie jest skłonny godzić się na „poprawianie”, ulepszenie i w ogóle przekraczanie, a zwłaszcza twórczości Pana Prusa. Jego powieści chcemy mieć w kinie w szczegółowym zapisie, z całym bogactwem realiów życia codziennego, z werystyczną dokładnością opisów miejsc i osobowych portretów, klimatu i zewnętrznych przeobrażeń społecznych. [...] No proszę! Tymczasem już na następnym stronie tego samego filmowego periodyku, sam reżyser zwierza się: „Nie można tego filmu odczytywać jako ilustracji powieści, każda adaptacja filmowa to pewien wybór wariantów, konieczność każe opuścić niektóre wątki i postaci. Zadaniem adaptacji jest rekreacja, powieści jej wariant, przekazany innymi środkami wyrazu [...]”. Więc kto ma ostatecznie rację?

Problem filmowych adaptacji dzieł literackich, „perfekcyjności” przekładów literatury na język kina, „optymalnego zbliżenia do literackiego pierwowzoru” — jest jak rzeka. I ma już swoją długą historię: zagadnienie to dręczy krytykę filmową niemal od samych początków kina, od czasu, kiedy „na podstawie” pięciotomowej „Wojny i pokoju” Lwa Tołstoja nakręcono... dwunastominutowy film fabularny. Siegając czasów współczesnych i własnego podwórka, warto przypomnieć falę burzliwych sporów i zażartych dyskusji, jakie wywołało przeniesienie na ekran przez Andrzeja Wajdę „Popiołów” Zeromskiego. Obecne sięgnięcie przez Stanisława Różewicza do „Emancypantek” Bolesława Prusa, jako pierwowzoru jego najnowszego filmu, a przede wszystkim realizacja artystyczna tego zamierzenia, z pewnością doczeka się także dyskusji pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami filmowego utworu.

Nie jestem i nigdy nie byłem zwolennikiem niewolniczej „wierności” reżysera wobec dzieła literackiego. Literatura nie może być „przefotografowana” na ekran, a reżyser nie może wkleić się w sieci drobniaków — już prędzej można zrozumieć takie założenie w wypadku wieloodeinkowego serialu telewizyjnego. Ale w wymiarze kinowym, to znaczy półtora — dwugodzinnym, widz musi otrzymać coś, co jest kwintesencją dzieła literackiego, pomnożoną o wrażliwość, wyobraźnię artystyczną i profesjonalną zręczność twórcy, który podjął się trud adaptacji. Z tego względu, na przykład, wolę ekranową realizację „Wojny i pokoju” dokonaną przez Kinga Vidora niż oszałamiającą, skądinąd, roz-

machem i dbałością o pokazanie realiów epoki, adaptację Sergiusza Bondarczuka. Dlatego też, za najlepszą znaną mi adaptację filmową uważam „Panny z Wilka” Andrzeja Wajdy.

Stanisław Różewicz jest jednym z najbardziej znanych polskich reżyserów a walorów twórczych, jakie sobą reprezentuje, nie ma co wymieniać: autor „Wolnego miasta”, „Świadectwa urodzenia”, „Westerplatte”, „Samotności we dwoje”, „Pasji” i wielu innych filmów cieszy się zawsze zaufaniem publiczności. Myślę jednak, że obecny, najnowszy jego film, okazał się przedsięwzięciem niezbyt szczęśliwym. A dyskusyjna wydaje się przede wszystkim metoda, jaką przyjął sięgając do Prusowskich „Emancypantek”.

Z czterech tomów tej powieści postanowił Różewicz przenieść na ekran tylko tom pierwszy. Ten — opowiadający o przeżyciach bohaterki książki, Madzi Brzeskiej, damy klasowej na pensji pani Latter w Warszawie. Ow pierwszy tom, niewątpliwie najlepiej napisany w stosunku do pozostałych, posiadający najlepszą dramaturgię i najlepszą... Intrygę w całej powieści Bolesława Prusa o przemianach społecznych, intelektualnych, obyczajowych, zachodzących pod koniec dziewiętnastego stulecia w polskim społeczeństwie, w mentalności i poglądach kobiet; otóż ta napisana przez Prusa, z lekkim odzieniem ironii, opowieść o pierwszych polskich sufrażystkach, jest niewątpliwie najatrakcyjniejszym tworzywem dla scenarzysty i reżysera filmowego. Warszawska pensja dla dobrze sytuowanych pańeczek. Jej wychowanki, ich nauczycielki, ich wzajemne relacje. Nowe prądy przenikające z zewnątrz w mury renomowanego, szacownego zakładu szkolno-wychowawczego. Rozdarcie dyktora i pensji pomiędzy poczuciem obowiązku i zdrowego rozsądku, a zaślepiłą miłością do niezbyt udanych własnych dzieł, co w końcu staje się przyczyną tragedii. Konfrontacja postaw i charakterów trzech tak różnych osobowości kobiecych jak „sufrażystka z konieczności” pani Latter, „sufrażystka-ekstremistka” pana Howarda oraz „anielskiej niewinności” Madzi Brzeskiej... To wszystko może być kanwą do doskonałego, „samodzielnego” filmu. Dlatego też Stanisław Różewicz dał mu tytuł „Pensja pani Latter” a nie: „Emancypantki”. Żeby niby nie było nieporozumień.

I nie byłoby żadnych nieporozumień, gdyby reżyser poszedł teraz swoją własną drogą. Żeby stworzył jakąś bardzo własną wizję, bardzo drapież-

ną, okrutną, czy też bardzo sentymentalną lub romantyczną wizję dziewiętnastowiecznej pensji dla pańeczek. Nie byłoby wtedy mowy o „przeniesieniu literatury”, byłaby o „zainspirowaniu” jednym z wątków znanej książki Prusa. Ale, uważam, gdy twórca filmowy przenosi na ekran dzieło literackie, które zrosło się na stałe z tradycją kulturalną kraju, ze znajomością całokształtu twórczości i światopoglądu klasyka literatury, nie wolno reżyserowi odkręcać ze znannej — choć z pewnością nie najwybitniejszej — powieści, odpowiadającego mu kawałka. Bo wtedy — mimo najpiękniejszej nawet ekranowej realizacji — umyka całokształt przedstawionego w książce problemu, no i całokształt myśli pisarza.

Powstałe w latach 1890—1893, pomiędzy dziełami tej miary co „Lolba” i „Faraon”, dużo od nich skromniejsze „Emancypantki”, rzucone są na szerokie tło nie tylko Warszawy, ale także polskiej prowincji. I ukazując życie ówczesnej społeczności w wielu środowiskach i w wielu — także w sensie geograficznym — miejscach, „kreśli one dzieje porażki idealizmu, uosobionego w ewangelicznej postaci Madzi Brzeskiej” — jak napisał jeden ze znawców Prusa. To jest naczelna myśl książki Bolesława Prusa. A tego nie widać — przynajmniej w sposób dostatecznie dostrzegalny — w filmowej „Pensji pani Latter”. Prędzej już będzie to film z gatunku psychologicznych — z niejaką zresztą skłonnością do melodramatu — z pewnym satyrycznym, tu i ówdzie (panna Howard), zabarwieniem. Ale po co było w takim razie mieszać w to wszystko „autentyczną” Prusowską panią Latter, pannę Howard czy Madzię Brzeską?

Inna sprawa, że film jest pięknie fotografowany, że nakręcony został z wielkim pietyzmem dla realiów epoki, i posiada ten szczególny, tak bardzo typowy dla Różewicza, „nastrój”. Reżyser znalazł też niezwykle wdzięczną odtwórczynię postaci Madzi Brzeskiej w osobie Hanny Mikuć (nie powiem tego o Klarze Howard w interpretacji, tak doskonałej przecież w wielu innych rolach, Haliny Labonarskiej).

W sumie więc warto, oczywiście, wybrać się na „Pensję pani Latter”, nie dziwiąc się jednak, jeśli po projekcji opadną człowieka liczne wątpliwości oraz wrażenie niedosytu. Jakby opowieść filmowa — niby odcinek telewizyjnego serialu — została nagle urwana w istotnym dla „dalszego ciągu” momencie.

M. D.

BIEGNIEMY przez miasteczko. Kilka baterii znajduje nowe pozycje za oparkowaniem ogrodowych domków. Jeszcze to osiedle, a potem już: na Budziszyn, albo na Drezno! Niedaleko widoczna jest stacja kolejowa. Przycicha lokomotywa, opada para. Na podłużnym jej kotle i na stacyjnym murze białą farbą ktoś wypisał hasło: Räder müssen rollen für dem Sieg! Nie patrz już w tę stronę. Biegnę od działa do działa. Wołam:

— Chłopaki! Pokażemy im znowu przy kim siał! Wnet znowu pójdziemy do przodu, pogonimy Fryców! Czemu się tak gapicie, przyjaciele? — pytam grupkę, która podholowała działko na mały plac, w cieniu drzewa.

Nie potrzebuję jednak odpowiedzi. Na grubej gałęzi wierzby, ocienieni nieco jej długimi liśćmi, wiszą trzej żołnierze w zielono-siwych mundurach. Przez ich piersi przeciągnięta jest biała szarfa, na której czytam: So enden die Varräter unseren Führer! Innym pisemem ktoś przypiął do piersi najniżej

Młode ramiona sięgają po zagrzebanego i wydobywają żołnierza z kawalkiem poszarpanej szarfy. Przedtem tego nie spostrzegaliśmy, straciło jednego z wisielców. Kładą go zaraz z powrotem na dno i powoli gramolą się do góry. Otrząsają z obrzydzeniem ręce. Nikt jednak się nie śmieje. Żal nam teraz nawet tych buntowników z ostatniej chwili wojny.

— Du Hündin, du! — słychać nagle z pobliskiego domu. — Zu wem kehrt jetzt Werner zurück aus Sibirien!?

Słyszymy katowanie kobiety. Wpadamy do środka. Leży na podłodze. Nad nią klęczy, pochylony, stary człowiek. Przyciska ją kolanem do ziemi i suchymi palcami dusi za gardło.

— Co tu się dzieje? — wołam, ale już widzę.

— Das ist meine Schwiegertochter. Sie hat alle Kinder, meine Enkelin, ermordet!

Na łózkach i podłodze leży czworo dzieci. Ich szyje są poderżnięte. To musiało się stać wcześniej. Krew jest zakrzepła, aż czarna. Na rękach ich mat-

kiem wylaniały się ich twarze z wydubanymi oczami, powybijanymi zębami. Orzelki na czapkach polamane. W nas... Pragnienie zemsty i odwetu po uroczystym pogrzebie. Miasto miało pójść z dymem, żołnierze pragnęli co dziesiątego mieszkańca, żeby było tak, jak robili nad Wolgą i Wisłą Niemcy. Sam przeżywałem to podobnie, ale rozkaz jest wyraźny: nie ma pewności, kto tej zbrodni dokonał naprawdę — żołnierze, czy cywile z tego miasta. Nie należy w niczym upodabniać się do zabójcy!

Mobilizując oficerów politycznych, przywołuję do posłuszeństwa liniowych. Gniew nie zaciha, pragnienie odwetu za kolegów mamy spełnić w najbliższej walce. Przypominam sobie przejazd polowej kuchni. Każdy był głodny, ale kto potrafił coś zjeść z apetytem w tym i następnym kwietniowych dniach? Zarcie rosło ludziom w gębach, bo wciąż był w nich obecny obraz klitnickiej zbrodni, nie opuszczał nas przez wiele jeszcze dni, zanim nie narodziły się na niego nowe zdarzenia, a

męskość i błyszczy rozluźnienie. Wszystko razem obrót...

Tacy jesteśmy! Jest południe majowego dnia. Niedobrze, że czujemy się teraz jak na majówce. Nie wiemy jeszcze tego. Pozdrawiamy się z oddziałami radzieckimi, które nas mijają, jakoś inaczej niż w czasie poprzednich dni i tygodni. Jest w tych pozdrowieniach wymowne porozumienie ludzi wiedzających, że zbliża się koniec ich wspólnego trudu.

— Spotkamy się potem w Berlinie! — krzyczymy.

— W Berlinie! — odpowiadają po naszymu.

Znowu jesteśmy sami. Czujemy się więc jak na majówce. Za górą ktoś odmierza odległość, oblicza nasze położenie i podnosi rękę. Nie wiemy o tym, nie spodziewamy się niczego. I nagle nad naszymi głowami pękają moździerzowe granaty. Samochody przystają. Dają rozkaz posuwania się, przyspieszenia ruchu kół. Jedyne, co możemy teraz zrobić, to pójść do walki bezpośredniej. Również lejtnant Kuźniecowa

MAJÓWKA

Tadeusz Jasiński

wiszącego: Feiling! Z własnej inicjatywy chyba swoje myśli ogłosiły tu także dzieci: So enden die Feiling!

— Są okrutni nie tylko wobec obcych — słyszę głos mojej dziewczyny, która nagle znalazła się obok.

— Kapralu Anno! — strefuję sanitariuszkę. — Zdaje mi się, że nie tutaj jest wasze miejsce. Nie ma tu rannych i nie będzie! — wyrokuję. — Nie narażajcie się niepotrzebnie — mówię już ciepło.

— Tak jest, obywatelu majorze — kapral Biedrzycka melduje swoje odejście!

Z trudem powstrzymuję uśmiech. Z niepokojem patrzę na nią, bo niespodziewanie dla nas wszystkich pojawiają się na niebie niemieckie samoloty. Przedarły się przez pierwszą linię i zbliżają się w naszą stronę. Nagle zniżają lot. Pikuja. Zrzucają krocie kilogramowych bombek, których odłamki są niebezpieczne. Wreszcie spostrzegają nasze pozycje. Lecą teraz zakolem, tak jak jesteśmy ustawieni. Zrzucają cięższe bomby. Jedna z nich upada na plac. Moi ludzie przyłapiją się do murów. Nie nie widać. Syją się kamienie, piasek i żelazo. W górę unosi się pył i dym. Podnoszę zaproszone oczy. Napastnik zawraca. Znowu rzuca śmiertelności ładunek. Wybuch! To samo, co przed chwilą. Kiedy wszystko przycicha, a pył opada, pierwsze, co dostrzegamy, to wielkie leje, pamiętki po obu podarkach z nieba. Od strony drzewa wystają poronione korzenie. Oglądam się po żołnierzach. Podnoszą się wszyscy.

— Nie ma rannych, Anno! — wołam i znowu gestem nakazuję jej powrót, gdyż przybiegła z narodziłką.

Działo jedną stroną przechyliło się ku dółowi. Spód kola usypuje się w dół piasek po bombach. Kanonierzy doskakują, przytrzymują za kola i centymetr po centymetrze cofają.

— W leju jest człowiek! — woła nagle jeden z chłopaków.

Patrzmymymy dookoła, nikogo z nas nie brakuje.

— Przypętał się ktoś chyba — rozważa ogniomistrz Galon. — Skaczele no chłopaki do środka. Chyba jeszcze można pomóc.

ki już zupełnie sucha. Stary człowiek wolno rozluźnia paluchy na szyi synowej. Wstaje. Patrzy po pokoju i te same palce wtyka w białe włosy. Młoda kobieta przestaje rzeźić. Chwyta powietrze i wyciąga ręce. Nie wiemy w pierwszej chwili — ku nam, czy ku wiszącemu na ścianie obrazowi Hitlera.

— Alles hat keinen Sinn, wenn der Krieg verloren ist!

— Jeszcze się będziesz do niego modlić, ty głupia?! — woła Galon i strzela do obrazu.

Wódz patrzy dziurami oczu na swoją zniechęconą wyznawczynię, a ona wyciąga teraz już jawnie i modlitewnie ręce, i krzyczy fanatycznie:

— O, mein Führer!

Sięga po brzytwę i jednym ruchem podrzywa sobie gardło.

— Niech się teraz wykrwawi, to będzie sprawiedliwe — ogniomistrz li-tuje się nad dziećmi.

Wybiegamy z tego domu okropności. — Doktorze! — wołam — Aniu, tam jest dla was robota. Może jeszcze uratujecie!

Podążamy. Idziemy na południowy zachód. Mamy połączyć się z całością brygady. Ciężkie „dodges” jęczą po piaskowej drodze lasu. Działo dostojnie się kolebią, wygrażają łufami otoczeniu. Umęczona ziemia drży pod ciężarem, dźwięki cierpliwie narzędnia śmierci. Nie znamy dokładnie pozycji wroga. Mamy połączyć się z całością brygady.

Od napotkanych oddziałów otrzymujemy sprzeczne wiadomości. Jest duża bitwa na południu. Jeszcze większa na zachód od naszego miejsca, a te jednostki, które nas mijają, same zdążają na północny zachód, bo tam właśnie niemieckie dywizje pancerne pragną przedrzeć się na pomoc Berlinowi.

Siedzę obok kierowcy. Silnik jęczy, bo opony wyrzucają spod siebie w miejscach trudnych masy piasku. Na równej drodze jednak obumieram w sobie. Wracam leniwie myślą na przebytą od Nysy drogę. Tego momentu zapomniać nie potrafię, przecież to byli kanonierzy z naszej brygady. Od Rothenburga trafiliśmy na przedmieście Klitten. Zabici towarzysze bronili z trzęsącego pulku. Grupka niewielka — dywizjon. Stanęliśmy nad odkopanym dołem u brzoju lasu. Pokazały się nam trupy zamordowanych, spod grudek

tych ostatnich dni wojny nam nie szczeniły.

Pod zamkniętymi powiekami przywołuję tę nieszczęsną kuchnię, bezradność kucharzy i wylewane z menażek jadło. I zaraz widzę skradające się z miskami, z talerzami i garnkami niemieckie dzieci. Wpierw te najmniejsze, wypychane do kuchmistrzów przez załęcznione i zgłodniałe matki, potem te starsze, które ze zwieszonymi głowami prowadziły do polskiego kotła łaknienie. Po chwili wahanie żołnierze oddawali im swoją żupę, opróżniali zasobniki kuchni, kroili im mięso i pajdy chleba. Zmiekli zupełnie i już nie myśleli o zemście na tych cywilach.

Otrząsnąłem się. Znowu wraca mi ta przebyta kręta droga z ostatnich tygodni, to odchodzenie od Nysy. Widzę groby. Groby żołnierzy naszej jednostki pozostały pod Mużakowem i Bad Muskau, Weisswasser i Schwarze Pumpe. Zyganiem rozmieściły się pod Chociebużem i znowu zeszły w dół koło Kamenz. Stamtąd teraz ciągniemy. Budziszyn powinien pozostać po lewej, a Drezno po prawej. Takim właśnie szlakiem ciągniemy. Ukośnym.

— Szkoda, że do Budziszyna, Galon, nie idziemy — mówię w zamyśleniu.

— Ktoś od pana majora tam na robotach?

— Nie, tylko był jeden wódz, który w tych okolicach rzucił na kolana cesarza rzymskiego narodu niemieckiego.

— Dawno to było?

— Dawno. Tu Bolesław Chrobry podpisał pokój, zakończył piętnaście lat trwającą wojnę. Widzicie, gdybyśmy tak my również tutaj... to byłby symbol.

— Zwycięstwo, znaczy się?

— Niech będzie. Zwycięstwo.

— Ono i tak przyjdzie. Tylko patrzeć, obywatelu majorze.

Jest południe. Idziemy w słońcu. Jest radośnie. Grupa czołgów, która nas nie zaczęła, mimo takiej okazji, każe żołnierzom snuć jak najlepsze domysły. Wróg jest całkowicie złamany. Tylko oddziały SS bronią się najzacieśniej, tylko one, bo wiedzą, że nie weźmiemy ich do niewoli, a jeśli nawet, to osadzimy i rozstrzelamy, bo są wyjęci spod prawa. Coraz częściej mowa o Berlinie, a zaraz potem o domu. Bliższe przed nami świętowanie. Triumf już pewny. Pokrzepiamy się takim gadaniem. Jest u nas mocarność, jest

radzi do przodu, do celu. Zbieramy rannych i zabitych. Obstrzał nie słabnie. Jest skuteczny. Właściwie dusi nas ku ziemi, ale musimy wyjść z tego miejsca, inaczej zginiemy wszyscy. Donoszą mi, że odkryto oddziały piechoty. Zanosi się na bitwę. Jedziemy jednak naprzód, szukamy dogodnego miejsca na obronę. Nie możemy zbyt długo wybierać. Każda minuta się leczy. Przede wszystkim zjeżdżamy z głównej drogi. Łamiemy młodnik sosenek. Kuźniecowa uznaje to miejsce za najlepsze do przyjęcia walki. Rozstawiamy działa. Podciągamy amunicję. Na bezpieczną odległość odsyłamy tabory szpitalne z rannymi.

Jeszcze sięgają nas Niemcy ze swoich moździerzy, a już odywa się ich lekka artyleria. Jej pociski przenoszą się, idą ponad nami. Spadają w niedalekim, wysokim lesie, nieco na prawo od szpitala. Zajmujemy pospiesznie pozycje. Wrogle i tak niebezpieczne moździerze milkną. Nieprzyjaciel orientuje się pewnie w malej skuteczności ognia. Po chwili jednak jego artyleria lepiej namierza nasze położenie i już znowu jesteśmy śmiertelnie zagrożeni. Skuteczność własnego ognia jest nie większa niż osiemset, dziewięćset metrów. Artylerzyści niemieccy wciąż jeszcze macają po okolicy. Nie jesteśmy już tak łatwym celem, jak na drodze. Żadna bateria nie działa w skupieniu. Każdy działon rozmieścił się gdzieś indziej. Zgodnie z przewidywanym polem obrony.

Nagle, z lewej strony, dochodzą odgłosy walki. To zbliżają się od tyłu niemieccy piechurzy. Pierwsi żołnierze nie zdążają odwrócić dział przeciw nacierającym, muszą przyjąć bezpośrednią walkę i w niej giną. Wyrzucamy sobie z Kuźniecowa tę tragedię. Tam pada wielu kanonierów, a nasze własne działa we wrogich rękach szczerzą teraz przeciw nam. I będą nas zabijać dopóty, dopóki nieprzyjacielskim artylerzystom starczy nagromadzonej przez nas amunicji. Jednak wolno opanowujemy sytuację. Już strzelamy częścią siły w atakującą piechotę. I od tej chwili giną masowo napastnicy. Żołnierze odyskują otuchę i, choć znajdując się pod skutecznym ogniem, nie dopuszczają już więcej ku sobie ani jednego piechura. Niemcy cofają się. Słyszyny jednak pomruk czołgów. W

moich ludzich odradza się strach, groza idzie ku nam od tego warkotu. Nie wiemy, kogo oczekiwać. Zwiadowcy biegną za cofającymi się, aby szybciej zorientować się, kto się zbliża. Nie potrzebujemy jednak ich powrotu, a już wiemy

— Hurra! Hurra! — słyszymy naraz z dziesiątek gardzieli cofających się dotąd Niemców.

Białe krzyże zbliżają się szybko, są widoczne w różnych punktach. Nie wyglądają jednak na to, że przybyły tu specjalnie, aby walczyć z nami. Mają pewnie własną drogę. Jesteśmy jednak w dogodnej sytuacji: nie mogą przejść, nie natrafiając na nasz ogień. Chyba jeszcze o tym nie wiedzą, bo pra do przodu co sil.

— Aż! — rozkazuje Kuźniecowa.

— Ogień! — krzyczą Galon i Wnuzek.

— Ognia! — powtarzają w działonach dowódcy.

Dwa czołgi stają w ogniu. Pozostałe abaczają z miejsca, gdzie znajdują się gniazda moich kanonierów. Artyleria wroga sypie na nas żelazem, zleje nieprzerwanie ogniem. Równie skutecznie trafia w nasze pozycje... we własne czołgi. Te są jednak zdecydowanie szybko zakończyć walkę. Wyraźnie to widać, że chcą przedrzeć się w obrany kierunek. Idą prosto na nasze gniazda. Lamią wszystko po drodze. Cokolwiek napotyka, miażdżą. Kilka z nich płonie od naszego i niemieckiego ognia, kilka stoi z rozzerwanymi gąsienicami. Pozostałe, a jest ich niewiele i nie potrafimy obliczyć, ile ich naprawdę przed nami, bo przeszkadzają drzewa i zarośla — ta reszta wyniszcza nas systematycznie, działając po działonie. Tracę panowanie w dowodzeniu. Kanonierzy bronią się na własną rękę, albo próbują chronić się ucieczką.

Truchlejemy. Oto słychać warkot udzieliłokrotniony. Nad nami — pełną brzuchami niemal po gąsienicach, przelatują myśliwskie samoloty. Wiemy już, że to nasze. Radzieckie. Zawracają. Znowu lecą najniżej, jak to jest możliwe i odlatują. Bohny się ich powrotu, chociaż są tak upragnione. Gdy zbombardują czołgi, to czy zdołają oszczędzić nas. Nikt o naszym położeniu nie wie. Los Niemców jest więc teraz naszym losem. Tym bardziej wzmacniamy ogień, aby przyspieszyć ich zniszczenie, albo odejście przed powrotnym przylotem samolotów. Może już bombowców.

Odwracam się i nie wierzę oczom. Bujny i wysoki jeszcze przed chwilą las sosnowy nie istnieje. Ścięty. Widzę całe otoczenie. Jest przereźdzone, polamane. Daleko, ledwo widoczna, czai się odparta przez nas piechota. Właśnie stamtąd znowu moździerz zasypują nas minami. Jest coraz gorzej. Zniszczenie nie dające się określić. Coraz więcej naszych punktów mileży. Jest źle, a wycofać się nie ma gdzie. Właściwie jesteśmy otoczeni. Poszum motorów wzmagają się znowu i dopełnia naszych obaw. Idzie stamtąd, skąd przedtem nadeszły czołgi i myśliwce. Nie wiemy jeszcze, zbliżają się samoloty czy znowu czołgi. Niespokojnie patrzymy po sobie. Przypominają mi się nasze lekceważące zdania o zwyciężonych, kiedy na drodze posuwaliśmy się jeszcze majówką. Ignorowaliśmy ich — myślę. — Jednak gdybyśmy ich nawet i docenili, to czy byłibyśmy bardziej przygotowani do odparcia tych ataków? Zbliża się rozgłosny ryk maszyn. Znowu czołgi. Kierowcy niemieckich maszyn nie dostrzegają jeszcze nadciągającej lawiny. My wiemy już kto przybywa. Znamy ten szczególny warkot silników. Dostrzegamy pierwsze sylwetki ołbrzymi.

— Hurra! — krzyczymy. — Nasil! — drzemy się nieprzytomnie.

— Eto naszym, towarzyszu major! — podbiega porucznik Kuźniecowa z twarzą rozjaśnioną radością.

— Naszyje! Sasza! — klepię go po ramieniu i wrzeszczę — naszyje!

— Hurra! Hurra!

Jesteśmy bardziej jeszcze pewni, że idą Rosjanie, bo z daleka już widać jak strzelają po niemieckiej piechocie i trafiają stanowiska ich moździerzy.

- 1) Kola muszą się kręcić dla zwycięstwa!
- 2) Tak kończą zdraycy naszego wodza.
- 3) Tehóra.
- 4) Tak gina tehóra.
- 5) Ty, suko, ty! Do kogo teraz wróci z Syberii Werner?
- 6) To jest moja synowa. Wymordowała wszystkie dzieci, moje wnuki!
- 7) Nie nie ma teraz sensu, skoro wojna przegrana!
- 8) O, mój wodzu!

Jest to fragment powieści pt. „Za człowiekiem cieni”, która w przyszłym roku ukaże się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w Warszawie.

Fraszka wszędy

JAK badać rozwój poezji? Niektórzy twierdzą, że takowego w ogóle nie ma. W każdej epoce poeci tworzą równoprawne wartości artystyczne, równe sobie pod względem poznawczym i wzruszeniowym. Nie można tych utworów porównywać ze sobą, ale należy je widzieć na tle swojej epoki, wówczas można osiągnąć częściową umiejętność czytania tak, jak były odbierane w czasie swego powstania. A jednak w pewnym sensie „postęp” w poezji istnieje. Można go zobaczyć następująco: zadajmy pytanie w jakim stopniu na tradycję, do której należą formy poezji, wzorce estetyczne i etyczne, mity i symbole — nakładają się treści i pomysły współczesne? Wiadomo tylko, że musi być zachowana subtelna proporcja, pomiędzy tym, co jest modelem, a tym, co można nazwać innowacją, przekroczeniem, improwizacją. Jeśli bowiem poeta zbyt niewolniczo zapatrzony jest w ideal — wyjdzie z tego naśladownictwo. Jeśli zupełnie oderwie się od regul — zerwie więź z czytelnikiem. Po przekroczeniu jakiejś porcji innowacji czytelnik nie będzie umiał prawidłowo go odczytać, a tym bardziej zrozumieć.

Piszę te ogólne uwagi dlatego, że lubelscy poeci wybrali właśnie umiarkowaną awangardę. W większym stopniu niż gdzie indziej szanuje się tu tradycję. Może to dobra w tym zakresie tradycja Czechowicza, który umiał z wielkim poszczególnym proporcji powstrzymać nadmierne zapędy sforsowania się do przodu wraz z papierem awangardy? Tak czy inaczej, kiedy otwieram tomik lubelskiego poety — i tak właśnie jest też w tomiku Marii Józefackiej *Adwent* — natych-

miast słyszę poszumy romantycznego wiatru stepowego i zimy z idealnie czystym śniegiem, syczącym podczas zadymki rozlane rzeki i rozstaje wsi. I całej tej tradycyjnej liryki, która rzeźbiła w języku polskim wzorce konceptualne i refleksyjne. Już sam tytuł odsyłający nas do okresu oczekiwania na święto Bożego Narodzenia, najbardziej polskie, jasełkowe, radosne dla dzieci święto — kojarzy się z prostym liryzmem, z sentymentami rodzinnymi, regionalnymi. Wewnątrz są bezpośrednie odwołania do Kochanowskiego, do wielkich romantyków, do nastroju modernistów. Ale to tylko cieniutki nieciągłości literackiej. Nić Ariadny, która nie pozwala się czytającemu gubić w lesie słów.

Dominuje bowiem w tomie brutalny oddech współczesności. W obszarze zawłaszczania aktualności Józefacka jest bardzo męska. Jest nawet opozycyjna do kobiecej miękkości. „Dzień zdycha jak gruźlik”, „stawałeś się [...] demagogiem o pysku pełnym wyrzecz”, „poezja [...] asystent igrastw”, „jakże daleko z tych zapłutych schodów do wniebowzięcia glorii”, „towarzysze niedoli też cuchną”, „zawzięcie podstęp i zdrada na karku dotyk żelaza” — z tych metafor i obrazów wylania się świat groźny, pełen podstępów i ohyd. Jest więc w rzeczywistości wokół człowieka i w nim samym wielkie napięcie pomiędzy sprzecznymi i zwalczającymi się pierwiastkami. Bywa manichejskość nie do pogodzenia. Właśnie zadanie główne poezji — to pogodzenie sprzeczności, oczywiście nie w świecie ale w wierszu, w języku. „Poezja / matka i siostra człowieka / matka strudzonych, siostra oszukanych / krząta się około wiela / gubi w drobiazgach niby igła

w szparze [...] nauczą ją enadzać w obroży / przytroczą do bagażnika / wstawią do klatki wywiczają w gadaniu papuzim...”

Są w *Adwencie* zanotowane realia prostego człowieka, małe radości — grudki burzyny, proste spacerki i spotkania. Dalej cierpienia, ból, choroba, zawód, niespełnienie. Dużo sarkazmu, pastiszu i trochę bufonady. Ale jest też powaga. Powiedziałbym nawet — patos pryncypiów moralnych i narodowych. Czasem wiersze przechodzą w publicystykę patriotyczną. „Niepodległość zachować ocalić tożsamość / złączyć się mocą talentów prac naszych”, „błogosławiony niech będzie lud z którego pochodzę”, „doszukać się człowieka w nas samych / w nas wszystkich” To granice człowieczeństwa, patriotyzmu. Obwarowane są one z jednej strony tradycją — choćby przywoływanie powstania listopadowego i styczniowego, z drugiej tożsamością społeczną rodzinną regionalną, krajobrazową. Na człowieka bowiem pełnego składa się misterna siatka wrażliwości, doznań, pamięci, kontaktów, poezji i prozy życia, które z osobna są niczym, a dopiero razem stwarzają całość atmosferę, głębię perspektywy humanistycznej. Podobnie zagrożenia kumulują się w małych, niezauważalnych naleciałościach cywilizacyjnych, społecznych, somatycznych — żeby w pewnych warunkach złożyły się na wapno niewrażliwości, cynizmu. Sprzeciwie się jałowej duszy można tylko tak: „o ile kocham tyle wstępnę z martwych”.

Tomik Józefackiej odznacza się nieprzeciętną urodą języka. To mowa podsłuchana w pociągu, w szpitalu, na plaży, na wiecu i w teatrze. Ze nie jest automatyczna — świadczy o tym świadome jej użycie. Umiejętnie strawestowane przysłowie, gwara regionalizm, żargon — zasila język całkiem naturalnie. Ale może najudaczniej wykorzystala autorka formę listu. Każdy wiersz jej można by nazwać listem, apelem do czytelnika, oczekującym dialogu. Listem domagającym się odpowiedzi — jest cały tomik wielością nastrojów dziwnie bliski liryczno-sceptycznym frazskom Jana z Czarnolasu. Po *Ostrzu*, *Epicentrum*, *Calopaleku* to dalsze osiągnięcia Józefackiej.

Jan Z. Brudnicki

Maria Józefacka — *Adwent*. Warszawa 1982 „PAX”, s. 35

Optymizm i groteska w „Marandzie”

O „WESELU Marandy” napisano już całą osobną książeczkę. Dotarło do mnie w tej chwili kilkanaście wycinków prasowych. Zenon Łukasiewicz zabrał głos dwukrotnie. Wpierw odezwał się w „Gazecie Lubuskiej”, ostatnio w zasadzie powtarza swoje uwagi w „Kamieniu” (nr 14). Żeby poznać Czytelnika z sednem sprawy, należy krótko omówić całą polemikę.

Poczta literacka

Flator B. Warszawa. Nie myli się Pan, rzeczywiście otrzymujemy setki listów z utworami poetyckimi i prozatorskimi. Nadsyłają Pan rację, iż w tej masie nie wszystko jest poezją i artystyczną prozą. W

styczniu przyszłego roku „Kamena” stanie się tygodnikiem, otrzyma nieco wyższy nakład, może więc i w stolicy łatwiej można będzie ją zdobyć. Mamy tę nadzieję, że zyczyliw nam „Ruch” będzie w tym pomocny. A Pańskie wiersze? W niektórych poezja przebijskuje, a to już niemato. Atmosferę jej obecności najpełniej potwierdza utwór zaczynający się od słów: „skończyło się już — wyniesiono ostatniego rannego.” Nie zawsze umiem się zgodzić z układem graficznym tych wierszy, wydaje się przypadkowy, nieadekwatny do treści, paule rytm i wymowę utworów. Niech Pan się nad tą sprawą zastanowi, a kiedyś przyśle nową porcję wierszy i napisze coś o sobie. Zdzisław Cz. Oleszyce, woj. przemyskie. Tej zimy przygotowujemy Panu debiut w „Ka-

„Ledwo książka się ukazała, natychmiast nagrodzona została pozytywną, niemal entuzjastyczną recenzją. Recenzentowi spodobał się między innymi, optymistyczny ton utworu. Zdenerwowało to pewnego zadziornego felietoniste, który odwrócił kota ogonem o sto osiemdziesiąt stopni i wysmiał optymistyczne ciągłotki. Rozpoczęła się kilkuodcinkowa polemika między antagonistami. Sam autor próbuje włączyć się do dyskusji i wygląda jak kot, któremu nadepnęto na ogon. Tymczasem ukazują się następne recenzje, dość wyważone, dość ostrożne, szukające analogii i rodowodów, ale poza groteskę wyjść nie umiające. Żeby im pomóc w poszukiwaniach, autor publikuje drobiazg o rodowodzie swego utworu. Na tym dyskusja się nie kończy, z werwą ujawnia się nowy polemista. Jeszcze raz pojawia się sprawa optymizmu. W ogóle zdumiewa ta infantylna wręcz niechęć do optymizmu. Zakłada się z góry, że jest łatwe i jakieś brudne — tymczasem odwrotnie, optymizm nigdy nie jest łatwy, za to na ogół jest czysty i bezinteresowny.

Czas chyba wreszcie na podsumowanie generalne. Wszyscy niemal krytycy piszący o mnie mówili o grotesce. Niektórzy wręcz o niczym więcej mówić nie potrafili. I tu jest ples pogrzebany. Istotą, kluczem dwudziestowiecznej groteski jest absurd i trwoga istnienia. U mnie tego nie ma, dlatego to nie jest groteska. W „Marandzie” staruszkowie pozostają młodzieniaszkami, a staruszki (na przykład babcia Czuja) są wręcz nieśmiertelne. Dlatego chyba aż tyle — chwalać lub ganić — pisano o optymizmie. Groteska i optymizm, a nie trwoga istnienia — to raziło wyrobione już i skostniałe gusta estetyczne.

A więc wyjaśnijmy na koniec, że u mnie nie ma groteski, jest burleska. Tego jakoś nikt nie zauważył i dlatego dyskusja ciągle mijala się z istotą sprawy.

Janusz Oleczak

„Kamena”, ponieważ część nadesłanych utworów warta jest tego. Proszę wstrzymać z nami kontakt.

Renata B. Opole. Zespół wierszy jest w części interesujący. Zwrócić moją uwagę te spośród nich, w których brzytwa ja służy Pani, jak sądzę, do wypowiedzenia i samookreślenia siebie, jako kobiety. Jeśli proszę Pani więcej tego typu utworów, proszę nam przesłać, coś z pewnością wybierzemy do druku.

TJ

Siedem grzechów głównych uniwersytetu

Dokończenie ze str. 1

Jak nadmieniałem, w pewnym zakresie i w pewnym sensie do tradycji Akademii Platona (rozwiązanej w 529 r. n.e.) nawiązały średniowieczne uniwersytety (powstałe pod koniec dwunastego i w ciągu trzynastego wieku we Włoszech, Francji, Hiszpanii i Anglii), organizujące i rozwijające nauki wówczas podstawowe, tj. filozofię, teologię, prawo i medycynę (stąd „universitas scientiarum”) i spełniające doniosłą rolę w rozwoju kultury oraz krzewienia idei humanistycznych.

Spełniając tak ważną funkcję, uniwersytety mają wielowiekową tradycję. Właśnie jako pierwszorzędną formę organizującą i kształtującą życie umysłowe oraz kulturalne społeczeństwa przeżyły stare formacje społeczno-ekonomiczne i utrzymały się w nowych. Owa trwałość ponadformacyjna wymownie chyba świadczy o walorach formy tej instytucji naukowej; stwierdzenie, iż na nowym podłożu społeczno-ekonomicznym wypełnia się ona nowymi treściami społecznymi i kulturowymi jest już chyba truizmem i zwalnianiem od powtarzania rzeczy powszechnie znanych. Ale przeobrażenia instytucji nie kończą się na tym; także sama forma ulec musi pewnym modyfikacjom, muszą odpaść pewne jej elementy, a pojawić się nowe, aby instytucja mogła jak najlepiej sprzyjać tworzeniu nowych wartości, odpowiadających potrzebom społeczeństwa zorganizowanego na nowych zasadach.

Szczególne role uniwersytetów polega na tym, że stanowią ośrodek twórczej myśli i organizując badania naukowe, są one jednocześnie centrami promieniowania zdobytych myśli na zewnątrz; przekazują bezpośrednio w sposób zorganizowany produkt twórczości umysłowej, stanowią ważną arterię życia umysłowego narodu, formują kadry inteligencji, których wartości i poziom decydują o pomyślnym rozwoju narodu i kultury narodowej. Maksym Gorki powiedział, że „trzech ludzi buduje kulturę: robotnik, uczonek i artysta. Poziom uczonego wyznacza wartość jego rezultatu, przemożnie decyduje o poziomie życia kulturalnego narodu”.

Każda z klas panujących posiada swoją inteligencję, która przede wszystkim jest powołana do kształtowania ideologicznego oblicza społeczeństwa, ale każda z klas potrzebuje nieco odmiennej inteligencji, mianowicie takiej, która z powodzeniem potrafi realizować historyczne zadania danej klasy, kierować świadomie budowę nowego życia w duchu nowego światopoglądu. Wielkie, szlachetne i na wskroś humanistyczne są zadania inteligencji ludowej w państwie socjalistycznym. Wszak realizacja dalekosieżnych i wielokierunkowych zadań, podejmowanych przez społeczeństwo socjalistyczne, ma

służyć człowiekowi, jego pełnemu wyzwoleniu duchowemu, szczęściu i wszechstronnemu rozwojowi osobowości. We wszystkich tych zadaniach ucieleśnia się idea humanizmu socjalistycznego, którego urzeczywistnienie najściślej wiąże się z zadaniami nauki w społeczeństwie socjalistycznym i z rolą socjalistycznego uniwersytetu, powołanego do współdziałania w budowie ustroju sprawiedliwości społecznej.

Marksowska krytyka systemu demokracji burżuazyjnej oraz jej instytucji stanowi podstawę do wyciągnięcia wniosków przedstawiających w swym całości program definitywnego wyzwolenia duchowego człowieka przez likwidację klas oraz urzeczywistnienia jednolitej i wolnej od wewnętrznych sprzeczności — organizacji społeczeństwa. Wizja nowej organizacji społeczeństwa — która będzie się charakteryzować harmonijnym współżyciem wszystkich jej członków, życzliwością i wzajemnym zrozumieniem — wizja taka zgodna była z klimatem kulturowym, w jakim ukształtowały się poglądy Marksa, przeniknięte duchem humanizmu. Jego zdaniem, istnienie klasowej organizacji politycznej było następstwem dehumanizacji stosunków międzyludzkich. Droga do urzeczywistnienia pełnej demokracji jest drogą odnalezienia i rehabilitacji godności ludzkiej; w liście do Rugego z maja 1841 r. tak oto pisał: „Poczucie godności ludzkiej trzeba by dopiero rozbudzić w sercach ludzi. Tylko to uczucie, które wraz z Grekami opuściło świat, a z nastaniem chrześcijaństwa rozplynęło się w mglistych oparach królestwa niebieskiego, może znowu przekształcić społeczeństwo w związek ludzi zrze-

szonych dla osiągnięcia najwyższych celów w państwie demokratycznym”. W stwierdzeniu, iż w społeczeństwie demokratycznym i opartym na zasadzie sprawiedliwości społecznej najwyższym prawem jest byt ludzki, mieści się rozumienie Marksa związku między komunizmem a humanizmem: „Komunizm jako pozytywne zniesienie własności prywatnej — tej samoalienacji człowieka — oznacza powrót człowieka do samego siebie jako człowieka społecznego, to znaczy ludzkiego. [...] Komunizm równa się humanizmowi i stanowi rozwiązanie konfliktu między człowiekiem a przyrodą oraz między człowiekiem a człowiekiem” (Marks-Engels: Dzieła t. 1, s. 577).

Z powyższego punktu widzenia rola uniwersytetu w państwie socjalistycznym sprowadza się do urzeczywistnienia idei humanistycznej, związanej z ideą państwa sprawiedliwości społecznej. Jeżeli zgadzamy się z tą tezą, to tym samym znajdujemy podstawę do określenia miejsca uniwersytetu w państwie socjalistycznym, w jego systemie szkolnictwa wyższego, a zarazem przypadającej mu roli w całości organizacji życia kulturalnego narodu. Dokonana u nas szeroka rozbudowa szkolnictwa wyższego, idąca w kierunku zapewnienia gospodarce narodowej wysoko kwalifikowanych kadr inteligencji technicznej, jest zrozumiała i jej potrzeba nie podlega dyskusji. Rzecz jednak w tym, że w przebiegu takiej rekonstrukcji szkolnictwa wyższego zmniejszyła się niejako automatycznie rola studiów humanistycznych, stanowiących domenę uniwersytetów. Tak to przecież bywa, że zadania w danym okresie pierwszorzędne i decydujące dla podjęcia i wykonania innych przedsięwzięć i odsuwają na plan dalszy potrzeby bynajmniej nie podrzędne i bynajmniej nie bez znaczenia dla ostatecznych i trwałych wyników całego dzieła rewolucji.

Dodajmy jednocześnie, że uniwersytet socjalistyczny, nawiązując do najlepszych tradycji humanistycznych w kregu naszej cywilizacji, wnosi zupełnie nowe wartości kulturowe i powinien stać się skarbnicą humanistyki socjalistycznej. Oddziaływanie wydziałów humanistycznych na wydziały przyrodnicze i techniczne powinno wyrażać się w procesie, który określiłbym jako proces humanizacji nauk przyrodniczych i technicznych. Z tego punktu widzenia rola uniwersytetów w systemie szkolnictwa wyższego zarysowuje się jako szczególna i nadrzędna. Dodajmy także, że w dotychczasowym rozwoju uniwersytetów w Polsce Ludowej w małym stopniu — i to często z rażącymi potknięciami — rola taka była spełniana.

W okresie przed- i październikowej odnowy toczyła się (zapoczątkowana w 1955 roku) żywa dyskusja na temat

roli i funkcji uniwersytetów. Zabierając wówczas głos w tej dyskusji, określiłem niejako siedem grzechów głównych uniwersytetów w Polsce Ludowej na ówczesnym etapie ich rozwoju, niech mi będzie wolno tutaj przypomnieć je: „Jest prawdą, że: 1) nie tylko nie rozwinięto dotychczas, lecz i nie postawiono nawet problemu roli uniwersytetu w państwie socjalistycznym; 2) uniwersytet traktowano i traktuje się tak, jak każdy inny z członów szkolnictwa wyższego, a szczególnie i zrozumiała wrażliwość na zadania bezpośrednio związane z produkcją sprzyja niepożądaną deprecjacji studiów uniwersyteckich; 3) odsuwanie uniwersytetów na plan dalszy idzie w parze z obniżaniem ich autorytetu i z niedostatecznym zaspokajaniem ich potrzeb materialnych; 4) kierowanie uniwersytetami; ze strony resortu zawiera w sobie zbyt dużo elementów biurokratyzmu i komenderowania, aby mogło być ocenione jako kierownictwo prawidłowe; 5) sposób doboru kandydatów na studia uniwersyteckie i stosowane przy tym metody („rekrutacja”) nie odpowiadają zadaniom, jakie należy i chcemy stawiać uniwersytetom; 6) metody nauczania i wychowania na uniwersytecie nie są na miarę uniwersytetu, są one w zasadzie kontynuacją zasad i metod stosowanych w szkole średniej przy pewnej tylko modyfikacji natury technicznej; 7) kształcenie młodych kadr naukowych jest szablonowe i nie stwarza atmosfery sprzyjającej dla rozwoju samodzielności u kandydatów na pracowników naukowych”. (Artykuł „O właściwe oblicze uniwersytetu w społeczeństwie socjalistycznym” w „Życiu szkoły wyższej” nr 1 1956).

Przytaczam tę wypowiedź sprzed niespełna trzydziestu lat, by unaczynić, że niemal wszystkie elementy tak sumarycznej krytyki wypełniania zadań uniwersytetów w państwie socjalistycznym zachowały — w mniejszym lub większym stopniu — swoją aktualność także za naszych dni. Dotyczy to w szczególności biurokratycznych wypaczeń w kierowaniu uniwersytetami przez resort, kształcenia młodej kadry naukowej w duchu oddania postępowi społecznemu i sprawiedliwości społecznej oraz stosowania właściwych metod nauczania i wychowania młodzieży na miarę potrzeb i zadań uniwersytetu w społeczeństwie socjalistycznym. Uważam jednocześnie, że w wypełnianiu zadań wychowawczych przez uniwersytety (i w ogóle przez szkoły wyższe) nastąpił niewątpliwie regres w porównaniu z okresem realizowania takich zadań w latach pięćdziesiątych. Uważam też, że zwłaszcza rażące zaniedbania w wykonywaniu zadań wychowawczych wyrządzały i wyrządzają dotkliwie szkody społeczne.

Nie wystarczy, iż w dyskusjach i oficjalnie składanych deklaracjach (po-



Henryk Raabe i jego dzieło

dobno deklaracjami dna piekła jest wyszczelnienie uznaje się integralność systemu nauczania i wychowania. Trzeba jeszcze deklaracje takie respektować we wszelkich praktycznych poczynaniach związanych z podjęciem dzieła reformy. Skoro zaś mamy do czynienia z szerokim kompleksem zadań, przeto prawidłowe ich wykonanie w całości będzie zależało od jasnego uświadomienia sobie ich wzajemnych powiązań i uwarunkowań, od ustalenia priorytetu realizacji najważniejszych — tych, które będą przesądzać o szansach wykonania pozostałych. Nie nadamy właściwej treści owocnej koncepcji reformy, nie wysnuwając z całości zagadnień ogniwa najważniejszego.

Jakie zadania w zakresie wychowania powinny przypadać szkołom wyższymi — w szczególności zaś uniwersytetom — oraz jakie środki należałoby zastosować w ich realizacji i na jakie momenty zwrócić bacniejszą uwagę?

Oddziaływanie wychowawcze na jednostkę urzeczywistnia się w różnych środowiskach wychowawczych (rodzina, grupa społeczna, organizacja społeczna itp.), a jego prawidłowość i pomysłowość wyników zależy od spełnienia pewnych ogólnych warunków we wszystkich wypadkach tak w szkole, jak i poza szkołą. Tak np. skuteczność wysiłku wychowawczego wówczas będzie większa, gdy treść i zasadniczy kierunek pedagogicznego oddziaływania tych różnych środowisk pokrywają się ze sobą i wewnątrz nie wykazują sprzeczności. W atmosferze, w której różnorodność głoszonych prawd i udzielanych wskazówek życiowych budzą u wychowanków nieufność i niepewność, zagrożone są zarówno autorytet wychowawcy, jak i zaufanie wychowywanych do rzetelności głoszonych haseł i przykazań. Wiele momentów powoduje, że właśnie szkole przypada szczególnie podniosła rola w ukształtowaniu charakteru młodzieży, jej światopoglądu, kręgu idei moralnych, a także jej sfery uczuć i jej stosunku do społeczeństwa. Rzecz jasna, że niebagatelna, choć swoista rola przypada uniwersytetowi, gdy rzecz dotyczy o tak wielką stawkę, jak uformowanie charakteru przyszłych aktywnych obywateli.

Uniwersytety w szczególności jednoczą w swej działalności dwie doniosłe funkcje, które wzajemnie się warunkują: zdobycie przez studentów wiedzy o otaczającym ich świecie (poznanie przyrody i treści życia społecznego) oraz wychowanie. Jest rzeczą niewątpliwą, że pierwsza z wymienionych funkcji przedstawia wielkie znaczenie dla powodzenia wysiłku wychowawczego. Poznanie rzeczywistości społecznej i rządzących nią prawidłowości stanowi podstawę do określenia zasad, które powinny być ściśle przestrzegane w interesie wszechstronnego rozwoju zbiorowości ludzkiej. Praktycznie idzie o wyrobienie nawyku przestrzegania obowiązków względem siebie samego, względem bliźnich, społeczeństwa i całej ludzkości. Poznanie teoretyczne jest punktem wyjścia i podstawą zachowania się praktycznego; w stwierdzeniu tym jest podkreślony ścisły związek nauczania z procesem wychowawczym (*scio, ergo desidero ac appeto*). Rzetelna stojąca na dobrym poziomie, dydaktyka warunkuje dobrą pracę wychowawczą szkoły.

Szczególnie w uczelniach stojących najwyżej w systemie szkolnictwa powinno się respektować nakaz płynący z wieloletniego doświadczenia, że najpomysłniejsze efekty w dziedzinie pedagogicznej uzyskuje się nie poprzez posługiwanie się utartymi sloganami, lecz służąc żywym przykładem. Wszak młodzież w wieku około dwudziestu lat jest szczególnie uposobiona krytycznie i bez trudu dostrzega, co w mowie nauczyciela płynie z głębokiego przekonania, a co jest czczym frazeosem.

I jeszcze krótko o tzw. wychowywaniu politycznym młodzieży, gdyż okres ostatnich kilku lat wiele podpowiadał tym, którzy oczy mają otwarte. Wychowanie takowe, niezależnie od takich czy innych form stosowanych, nie spełni swego zadania i pokładanych w ich spełnieniu nadziei, jeżeli podstawowym jego celem nie stanie się zaszczepienie w umysłach i uczuciach młodzieży idei humanizmu socjalistycznego; zrozumienie tej elementarnej prawdy kodeksu obywatelskiego, że urzeczywistnienie idei socjalizmu jest jednoznaczne z pełnym wyzwoleniem człowieka. Nie wystarczy wybudowanie murów fabryk, uczelni, szpitali, domów mieszkalnych; trzeba budować z myślą i troską o potrzeby człowieka, nie bagatelizując potrzeb duchowych.

Andrzej Burda

DLA dzisiejszego pokolenia pracowników naukowych trudne do zrozumienia są warunki, w jakich rodził się lubelski ośrodek. Obserwuję czasem, z jak wielkim niedowierzaniem odnoszą się oni dzisiaj do wiernych relacji najstarszych stażem kolegów, którym dane było kłaść fundamenty pod rozwój tego ośrodka. Wspomnienia — o tym, że sędziwy prof. Janusz Domaniewski chadzał zimą w mocno zniszczonym, lecz noszącym jeszcze ślady utraconego bogactwa, futrze, a równocześnie w białych płóciennych tenisówkach na nogach, że nobliwy profesor Strawiński maszerował w pierwszomajowym pochodzie 1945 roku w krótkich spodniach zwanych pumpkami i w drewnianych sandałach bez skarpet, a bardzo przystojna st. asystentka zoologii, dr Aniela Namysłowska, nosiła zimą poniemiecki sznyel wojskowy — młodzi uważają czasem za niewiarygodne lub objaw dziwactwa. Z rozrzewnieniem wspominam osobiście czteroletni okres, gdy jako docent, a następnie profesor, zamieszkiwałem wraz z żoną, st. asystentką, w pokoju, który w dzień nosił nazwę gabinetu profesora, wieczorem zamieniał się w kuchnię, a w nocy był sypialnią pięciosobowej rodziny; gdy w przyległej salce świeża st. asystentka, mgr Juliusz Neiheiser, przez dwa lata sypiał za stelażem z tablicami wykładowymi, zaś asystent Romuald Grubner, lekarz weterynarii, przykryty lichym kocykiem, sypiał pod stołem laboratoryjnym. Przejawem lekkomyślności nazwałby też dzisiejszy asystent czyni świeżo mianowanego kierownika Zakładu Geografii, prof. Adama Malickiego, który znalazłszy w krakowskim antykwariacie jakiś niezbędny do działalności dydaktycznej atlas, zakupił go, zastawiając u antykwariusza — z powodu braku gotówki — swój piasek.

W takich warunkach przyszło żyć i pracować ludziom, którzy od jesieni 1944 roku ścigali do Lublina z różnych miejscowości wyzwolonych obszarów kraju, by kreować tu Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, powołany dekretem PKWN z 23 października. Pisano o tym niejednokrotnie, ale nie od rzeczy będzie przypomnieć, że Alma Mater lubelskich uczelni państwowych powstała w okolicznościach wyjątkowo nie sprzyjających tworzeniu tak skomplikowanego i delikatnego organizmu. Brakowało pomieszczeń, aparatury naukowej i pomocy dydaktycznych, żarówek, krzeseł (pierwsze zebranie Senatu odbyło się na beczkach), odzieży i żywności — z rzeczy materialnych brakowało właściwie wszystkiego. Profesorowie i asystenci mieszkali w fatalnych warunkach, studenci nocowali w porozbijanych wagonach, stojących na bocznicach kolejowej. Wykłady trwały od rana do wieczora, nawet w niedziele. Od początku uniwersytet musiał też pokonywać trudności delikatniejszej na pozór natury, ale kto wie, czy w praktyce nie większe od materialnych. Oto bowiem część obywateli lubelskich i wyraźną niechęcią, jeśli nie wrogo, przyjęła fakt powołania uczelni świeckiej i państwowej, widząc w tym zamach na autorytet KUL-u. W tych kręgach zwano UMCS złośliwie „ZUL-em” („żydowskim uniwersytetem lubelskim”), oczerniano jego pracowników. Trzeba jednak pamiętać, że uczelnia katolicka, wspomniana zresztą wtedy przez władze finansowo i rzeczowo, znalazła się w tej sytuacji całkiem przyzwoicie. Świadczy o tym m.in. fakt odstąpienia UMCS-owi kilku sal w budynku przy al. Racławickich 14, w których uniwersytet państwowy ulokował Katedrę Medycyny Wojskowej, działającą tam przez półtora roku. Paradoksalne, ale prawdziwe: z pewną nieufnością odnosiły się do UMCS, w pierwszych latach jego istnienia, także władze lubelskie.

Nie wszyscy ich przedstawiciele rozumieć i doceniać rolę społeczną nauki i państwowej wyższej uczelni dla Lublina. Władze często dawały posłuch fałszywym oskarżeniom rektora o sa-

moładztwo i holdowanie burżuazyjnym formom życia uczelni wyższej. Nie wszyscy, jak widać, lokalni kierownicy życia społecznego (często się zresztą zmieniający) posiadali tyle wyobraźni i mądrości, co Ludwik Czugała (który już w 1945 roku szkicował z pierwszym rektorem projekt wzniesienia dzielnicy uniwersyteckiej) czy Paweł Dąbek — swoją przyjaźnią dla UMCS dokumentujący w sposób konkretny, a więc najlepszy z możliwych. Dodajmy przecież, by ten epizod nie zaciemniał całości sprawy, że uczelnia miała, oprócz wspomnianych dwóch działaczy i takich potężnych protektorów, jak Bolesław Bierut, Edward Osóbka-Morawski, Stanisław Szwalbe, Michał Rola-Zymierski, Stanisław Skrzyszewski i Hilary Minc. Powtórzmy: UMCS został powołany do życia przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego.



„Ludwik Czugała już w 1945 roku szkicował z pierwszym rektorem projekt wzniesienia dzielnicy uniwersyteckiej... A oto i fragment dzieł — już nie na papierze.”

Rys. J. Tarłowski

Wytarte powiedzenie, że wszystko zależy od ludzi, w przypadku naszego uniwersytetu nabiera żywego sensu. Największym kapitałem w tym najcięższym, a zarazem pełnym romantyzmu okresie, kiedy mierzyło się „sily na zamiary”, był ogromny, powszechny i spontaniczny entuzjazm wszystkich pracowników naukowych, administracyjnych i technicznych oraz nieprzeparta wola zwycięstwa, emanujący na nas wszystkich od twórcy uczelni, rektora Raabego. Podstawą naszej pracy była bezwzględna ufność w dobrą wolę władz i wszystkich pracowników uczelni, zrozumienie ciężących na każdym z nas zadań, wielka pracowitość połączona z poczuciem odpowiedzialności, lojalność w stosunku do władz uczelni, partii i rządu oraz świadomość, że każdy z nas jest współorganizatorem i współtwórcą tego wielkiego dzieła. Atmosfera ta panowała również wśród studentów. Dodajmy: studentów wygłodzonych, nędznie odzianych, przybyłych nieraz z partyzantki, z niemieckich robót przymusowych, z wojska. Wielu z tych młodych ludzi chorowało na gruźlicę. Ale tak poważnego stosunku do nauki nie odnotowano wśród młodzieży akademickiej chyba nigdy później. Nie opuszczano zajęć, nocami śleczono nad podręcznikami (jeśli byli) i notatkami, z wielkim szacunkiem odnoszono się do nauczycieli akademickich. Takt tej młodzieży, zdawać by się mogło, zdziwiałej podczas życia leśnego był tak duży, że nie dopuszczala myśli, by wykładowca musiał ścierać tablicę, przygotowywać ekspozyty itd. Naturalnie wyęczeni go w tym studenci.

Twórcą UMCS był Henryk Raabe. Dowodnie przekonuje o tym wydana niedawno monografia autorstwa Gabriela Brzęka. Z tej właśnie pracy, opublikowanej przez Annale UMCS, pochodzą wszystkie cytaty, znajdujące się w niniejszym tekście.

Powiem krótko: tę książkę powinien przeczytać ci wszyscy, którzy poszukują rzetelnej wiedzy o kulturze polskiej minionych kilkudziesięciu lat, kulturze rozumianej szeroko, obejmującej np. naukę i politykę, a i moralność także. Szczególnie zaś polecić ją należy dzisiejszym studentom i pracownikom naukowym, jako że jest to publikacja bardzo pouczająca — tak po prostu, w potocznym rozumieniu tego słowa, bez drętwej dydaktyki. Ważne przy tym, że otrzymaliśmy książkę napisaną potocznie, barwnie i zgodnie z wzorem pięknej polszczyzny, tak dziś deformowanej nawet na uczelniach!

„Henryk Raabe (1882 — 1951)” to publikacja skromna objętościowo (106 str. czystego tekstu), składająca się z kilku rozdziałów, które dają się przecież ulokować w dwóch częściach o zbliżonej objętości. Pierwsza obejmuje okres życia i działalności naukowej,

pedagogicznej, społecznej i politycznej Raabego do czasów wojny, druga — poprzedzona krótką rekonstrukcją losów zoologa we Lwowie — poświęcona jest w całości problematyce kreowania przez uczonego UMCS-u, jego służbie dyplomatycznej w Moskwie i okolicznościom „zesłania” go na emeryturę — jako człowieka już 65-letniego, lecz ciągle twórczego i witalnego oraz wiernego ideom socjalizmu.

Nie będę streszczał cennej, wypełniającej poważną lukę w naszym piśmiennictwie historycznym (politycznym?) pracy Gabriela Brzęka, który materiały do tej książki gromadził latami, penetrując archiwa i przeprowadzając wywiady z osobami znającymi Raabego. Autor pozostawał zresztą w bliskich kontaktach z pierwszym rektorem UMCS i na jego właśnie prośbę podjął, jesienią 1944 roku, pracę naukowo-dydaktyczną i organizatorską w uniwersytecie. Powiem tylko, że jest to książka o dramatycznych losach człowieka, który przez całe życie płacił wysoką cenę za swą uczciwość, trywialny stosunek do ludzi i niekonkunkturalne pojmowanie socjalizmu. Z takich też względów jego dorobek naukowy nie mógł być większy niż „średni”. Z takich też powodów odsunął Henryka Raabego od autentycznie wielkiego dzieła jego życia, jakim okazał się Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej. Aby rychło potem przykryć niepamięcią postać niewysokiego pana z bródką, o krzaczastych brwiach, który należał niegdyś do SDKPiL, później do PPS, w końcu do PZPR.

Profesorowi Gabrielowi Brzękowi wypada podziękować za przypomnienie tego Człowieka.

(K)

kamena 9

Sportowe słodycze

ENTUZJAZM komentarzy sportowych, a już zwłaszcza w Lublinie, powitał mistrza świata w ratownictwie wodnym, Wojciecha Blechara. Lokalne patriotyzmy lubią sycić się cudzym wysiłkiem, z którego można być dumnym trzymając nogi w bamboszach, najlepiej przed telewizorem. Niewykluczone więc, że pływy blondyn silnej budowy zostanie pewnego dnia „lublinianinem roku”, żeby to nasze szare i przeciętne życie choć na chwilę rozjaśnić swoją sławą i skromnym uśmiechem licealisty. Czy sprawi to, że choć jeden mamut zbierze się na basen, żeby nauczyć się pływania?

Jak twierdzi Andrzej Ruzikowski, ostatni trener Wojciecha Blechara, oglądane w telewizorze zawody w ratownictwie wodnym mają się tak do liczby utonięć, jak sport wyczynowy do sportu masowego. „Wesołe” memento: liczba utonięć wzrosła mimo potraktowania ratownictwa wodnego jako dyscypliny sportowej. A może dlatego? Zamiast na plażę z lornetką i nie pozwalać, i gwizdać, i uczyć pływać — ratownicy pobiegli po splendory na treningi i zawody. A cherlawcy niech ślą plankton, jeżeli porwali się na kąpiel po piwku. Tak właśnie odpływa teoria od praktyki: czym innym jest złoty medal za wybitne osiągnięcia w sporcie, który Wojciech Blechar dostał od przewidywanego Główniej Komisji Kultury Fizycznej i Turystyki a czym innym codzienna rzeczywistość nad wakacyjną wodą. Wiedzą o tym amatorzy ruchu sportowego, kiedy widzą potencjalnego gwiazdora i ładują mu akumulator. Bo w końcu liczy się efekt; każdy stemplowany pływak ma większe szanse wygrać konkurs w ratownictwie wodnym, wy-

grać w cuglach, niż zawodnik, który umie rzucać kołem ratunkowym, ale nie ma dość siły i techniki, żeby szybko holować manekin. Oczywiście świetnie się złożyło, że Wojciech Blechar jest wielokrotnym medalistą mistrzostw Polski w pływaniu i członkiem kadry narodowej, bo zawsze przyjemnie popatrzeć jak nasz wygrywa.

Tylko im bardziej sport wyczynowy sięga granic możliwości człowieka, a mimo to nadal bije się rekordy, zbyt staroświeckim ludziom, którzy pamiętają ideę greckich olimpiad, robi się smutno, jakby byli skazani na oglądanie przerasowanych bassetów. Jest coś nieuczciwego w wyczynowym szaleństwie, niekiedy graniczącym z cyrkową ekwilibrystyką, pokazywanym zamiast nowych boisk i stadionów dostępnych dla każdego łamagi. Odrobina emocji z telewizora zamiast przyjemnego zmęczenia po opuszczeniu pływalni — to wszystko.

Od kiedy Lublinowi głównie ubywa basenów, właściwie miło jest nawet tylko popatrzeć na szczęśliwca, który dwa razy dziennie skacze do błękitnej wody. Wojciech Blechar ucieleśnienie najskrytszych marzeń o młodości, sile i dużych możliwościach sportowych — niech pływa dalej! A ma chłopak mądrego trenera, czujnych działaczy klubowych i fart, skoro opiekun kadry narodowej, choć sam startujący w mistrzostwach — Jacek Krawczyk, potraktował go jako obiecującego rywal, z którym wszyscy powinni się zmierzyć. Jest to ujmująca okoliczność, zwłaszcza że koleżdy-zawodnicy odpowiadając w tajnym głosowaniu na pytanie, kto powinien odpaść z reprezentacji — w większości głosowali przeciw Blecharowi.



Fot. W. Stępień

Wojciech Blechar ma jeszcze jeden powód do satysfakcji, o którym sympatycy sportu niekoniecznie pamiętają. Jest to indywidualny tok nauczania, czyli taki luksus, jak bywało w najlepszych domach do początku XIX wieku. Czy jego nauczyciele są na tyle dobrze opłacani, żeby zależało im na intelektualnej klasie mistrza świata, trudno powiedzieć, ale prawdopodobnie może on uczyć się szybciej i wszechstronnie, co jest warte najcięższych treningów, nawet w zamrażniętym basenie.

(ba)

NIE TYLKO FOLK...

Istvan Grabowski

NIEZMIERNIE rzadko zdarza się (przynajmniej w naszym światku estradowym), by dobre warunki głosowe, swoboda estradowa i kapitalne wyczucie sceny szły w jednej parze z łatwością komponowania atrakcyjnych melodycznych piosenek. To, co nie udało się protegowanym na gwiazdy rocka, osiąga z powodzeniem Martyna Jakubowicz. Podczas jej koncertów nie lecą w górę marynarki jak na mityngach rockowych. Młodzi fani słuchają w skupieniu intrygującego głosu solistki, a dopiero później rozlega się ich entuzjastyczny aplauz.

Martyna nie jest wykopawczynią rywalizującą o palme pierwszeństwa z Korą Ostrowską, Wandą Kwietniewską czy Beata Kozdrak, jakkolwiek jej nazwisko będzie można spotkać w tworzystwie tych wokalistek w podsumowaniu plebiscytów popularności. Reprezentuje, jak określił to trafnie przed dwoma laty Marek Garztecki, dopracowany styl interpretacji dobrego folkowo-bluesowego repertuaru. Towarzyszący jej na koncertach zespół przypomina klimatem brzmienie Dire Straits. W muryce Martyny Jakubowicz jest sporo subtelności i łagodności klasycznych ballad folkowych jak też bluesowej skargi. Publiczność szybko akceptuje jej różny od balaśliwego rocka styl, bo śpiewa swobodnie, bez nerwującej impetu.

Z muzyką związana była od dziecka, ale nigdy nie marzyła o karierze estradowej. Jak twierdzi, trafiła na scenę niemal przypadkiem. Umiała już nieźle grać na gitarze, kiedy usłyszała w radiu balladę Joan Baez. Urzekający głos amerykańskiej artystki i zupełnie inna od tradycyjnej piosenki muzyka wywarły na nastolatce tak silne wrażenie, że sama próbowała śpiewać podobnie. Wiele pomogła jej w tym taśma magnetofonowa z kursem gitary folkowej Seegera i Silvennana. Właściwie dzięki niej zrozumiała istotę muzyki folk. Długo śpiewała wyłącznie dla siebie, jakby nie dowierzała możliwości przekonania kogokolwiek o swych zdolnościach. Większej pewności nabrała dopiero po rezygnacji z kopiowania wykonawców amerykańskich. Ich piosenki były niewątpliwie wspa-

niałe, ale w jej wydaniu niezbyt oryginalne. Odtąd gitara akustyczna, z którą się nie rozstawiała, zaczęła miała Martyna jako podkład do tego, co chciała przekazać słuchaczom. Z gitarą pojawiała się dosyć często w studenckim klubie Remont, gdzie traktowano ją jako „nawiedzoną entuzjastkę”, a nie kandydatkę na profesjonalną piosenkarkę. Do dużej publiczności wyszła za namową nieżyjącego harmonijkarza Ryszarda Skibińskiego z Kasy Chorych. Wspólnie zagraли wspaniały koncert bardzo gorąco przyjęty przez słuchaczy białostockiej „Jesieni z bluesem”. Po tym występie mówiło się nawet o możliwości współpracy z Kasą Chorych, ale nadzieje okazały się płonne. Trudno im było znaleźć wspólny język. Martyna, promowana na wokalistkę, rozpoczęła samodzielną węd-

rówkę po klubach studenckich. Uczestniczyła w kilku imprezach, m.in. Jazz Juniors, Folk Blues Meeting. Muzyczny Camping, nawiązała kontakt z akustyczno-elektrycznym zespołem Robotnik Sezonowy. Nie grała z nim długo, bo po kilku miesiącach Robotnik uległ rozwiązaniu. Pozostałaby zapewne na peryferiach estrady, gdyby nie radio. To właśnie nagrania radiowe zapewniły debiutującej solistce powodzenie. Latem 1981 roku na listy przebojów dostały się kompozycje Martyny „Gdzieś między” oraz „Kretyni i osły”. Jej powodzenie zakończyło etap muzycznego terminowania z materiałem znanym z bardzo dobrych wykonawców. Drugie stadium zaczęło się na dobre w listopadzie 1981 od sesji, w czasie której zarejestrowano najbardziej znaną kompozycję M. Jakubo-

wicz „W domach z betonu nie ma wolnej miłości”. Smiały tekst erotyczny oraz niebanalna interpretacja prostej, ale jakże chwytliwej muzyki, zapewniły jej miano znaczącej piosenki ostatnich kilku lat. „Betony” szybko posuwały się na liście przebojów Trójki, by we wrześniu '82 osiągnąć pierwszą pozycję. W sukces przyszył im następne nagrania wokalistki: „Kłopoty to jej specjalność”, „Posłuchaj Marta”, „Tyle zalet miał” i „Wielka fala”. Stworzyły one nową wizję Martyny. Już wtedy było wiadomo, że mamy do czynienia z piosenkarką wszechstronną i całkowicie współczesną, której przekaz artystyczny jest istotny dla wielu młodych odbiorców.

Pojawia się na scenach i w programach radiowych z pakietem nowych intrygujących dźwiękowych tytułów. Żużka w domu z betonu, w którym zajmuje się rodzina, słucha muzyki i eksperymentuje z nowymi „numerami” — praca nad nowymi tekstami i ćwiczy z gitarą akustyczną — chociaż raczej nie będzie z nią już występować. Niedawno pojawiła się znów pełna energii i zapалу do pracy. Ma za sobą kilkuletni staż i doświadczenie, świadomość tego, dla kogo śpiewa i co w tzw. karierze jest dla niej istotne. Pojawia się po nagraniu dwóch płyt: singla dla Tonpressu i longplaya dla Pagartu. Ma też za sobą eksperymenty studyjne ze Zbigniewem Holdysem oraz grupami TSA i Krzak (przygotowywana do wydania płyta „I Ching”). Na scenie wspomaga ją nowy, elektryczny tym razem zespół, który potrafi czarować młodych fanów nie gorzej od solistki. Grają z nim wyborni muzycy: Jan Chnatoń (Grupa Pod Budą) i Bogdan Kołodziej (Chwila Nieuwagi) — gitary, Andrzej Popiel (Extra Bail i Playing Family) — perkusja, Wojciech Bobrowski (Chwila Nieuwagi) — gitara basowa, Paweł Berger (Dżem) — piano Fendera oraz okazjonalnie Rafał Rekosziewicz (Krzak i grupa Marka Śniecia) — organy Hammond, Andrzej Nowak (TSA) i Andrzej Urny (ex-Perfect) — gitary. Wspólnie grali już na festiwalu muzyki młodych w Jarocinie, w Rocku nad Bałtykiem (Kolobrzeg) i Rocku na Wyspie (Wrocław) zdobywając uznanie wielotysięcznej publiczności. Przebojowe kompozycje „Kiedy będę starą kobietą” i „Rosa taka sama od lat” anonsujące debiutancki album otwierają nowy etap kariery Martyny. Idą o zakład, że ta wokalistka ma przed sobą bogatą przyszłość znaczącą wieloma sukcesami. O tym, jaka jest na scenie, przekonamy się w niedługim czasie. Lubelski Ośrodek Tańca zapowiada koncerty wokalistki, którą śmiało można nazwać nadzieją rodzimej sceny lat osiemdziesiątych.



Martyna Jakubowicz

Fot. M. Makowski

Shaw był świetnym pływakiem. Raz oddalił się jednak od brzegu za daleko i zaczął tonąć. Z trudem udało mu się ocalić życie. Na brzegu zaczęto dopytywać się, co przeżywał w krytycznym momencie. Okazało się, że Shaw nie miał wizji ani przeszłości, ani przyszłości, jak to się często tonącym zdarza, nie myślał ani o Bogu ani o zbawieniu duszy... po prostu przychodzili mu do głowy zmiany, jakie chciałby porobić w testamencie.

Aleksander Manzoni nie lubił gości i nie przyjmował zasadniczo nikogo oprócz najbliższych przyjaciół. Pewnego razu zjawił się u poety Benedykt Gallii w nadziei uzyskania audiencji jako tłumacz Horacego. Manzoni wysłał mu przez służącego kartkę z napisem: „Horacy nie jest do przetłumaczenia”.

Król Jakub I chciał zasięgnąć opinii Bacona o pośle francuskim, który podczas pierwszej audiencji zwrócił na siebie uwagę raczej wyglądem niż zaletami intelektualnymi.

— Jest to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna — powiedział Bacon.

— No, tak — odrzekł król — ale co myślisz o jego głowie?
— Wasza Królewska Wysokość, wysocy ludzie podobni są do wielopiętrowych domów: najwyższe jest najczęściej najgorzej zrobione.

Szalapinowi zdarzył się w Berlinie zabawny przypadek. Kiedy w przejeździe zgłosił się na pocztę, aby odebrać korespondencję poste restante, urzędnik żądał dowodu osobistego, którego śpiewak przy sobie nie posiadał.

— Żaluję bardzo — oświadczył urzędnik — ale instrukcja jest wyraźna. Kto udowodni, że to właśnie pan jest tym słynnym śpiewakiem Szalapinem?

— Mogę to panu udowodnić... śpiewem.
— Owszem. Tylko niech pan nie próbuje wprowadzić mnie w błąd; jestem człowiekiem muzycznym.

Ale kiedy Szalapin wziął pierwsze tony z „Mefista”, urzędnik bez słowa wręczył mu wszystkie listy.

Jedna z wybitnych poetek francuskich udała się w towarzystwie przyjaciółki na kazanie paryskiej znakomitości kościelnej. Kaznodzieja mówił na temat stosunku kobiet do szóstego przykazania, straszyl piekłem i w pewnym miejscu zawołał:

— Dla jednej godziny rozkoszy poświęćcie zbawienie wieczne!
W tym miejscu poetka tak się zadumała, że przyjaciółka spytała o przyczynę jej nagłego zafasowania.

— Chciałabym wiedzieć — brzmiała odpowiedź — ile owieczek ma nasz ojciec, które są w stanie przeżywać rozkosz zmysłową w ciągu całej godziny?

Rzecz dzieła się w Paryżu na początku I wojny światowej. Do komisariatu przyprowadzono jegomościa, który był aresztowany za robienie jakichś tajemniczych notatek na ulicy. Tym jegomościem był, ni mniej ni więcej, tylko poeta i dramaturg d'Annunzio. Tłumaczenia, ukłony, przeprosiny. Poeta oczywiście został zwolniony. Potem między komisarzem a agentem wywiązała się następująca dialog:

— Mam nadzieję, że nie zachował się pan po grubiańsku?

— O nie... Wiedziałem, kto to jest.

— Tak? — Dlaczego więc przyprowadził go pan tutaj?

— Po pierwsze, aby uwolnić go od tłumy..., po drugie... ale to sprawa osobista...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

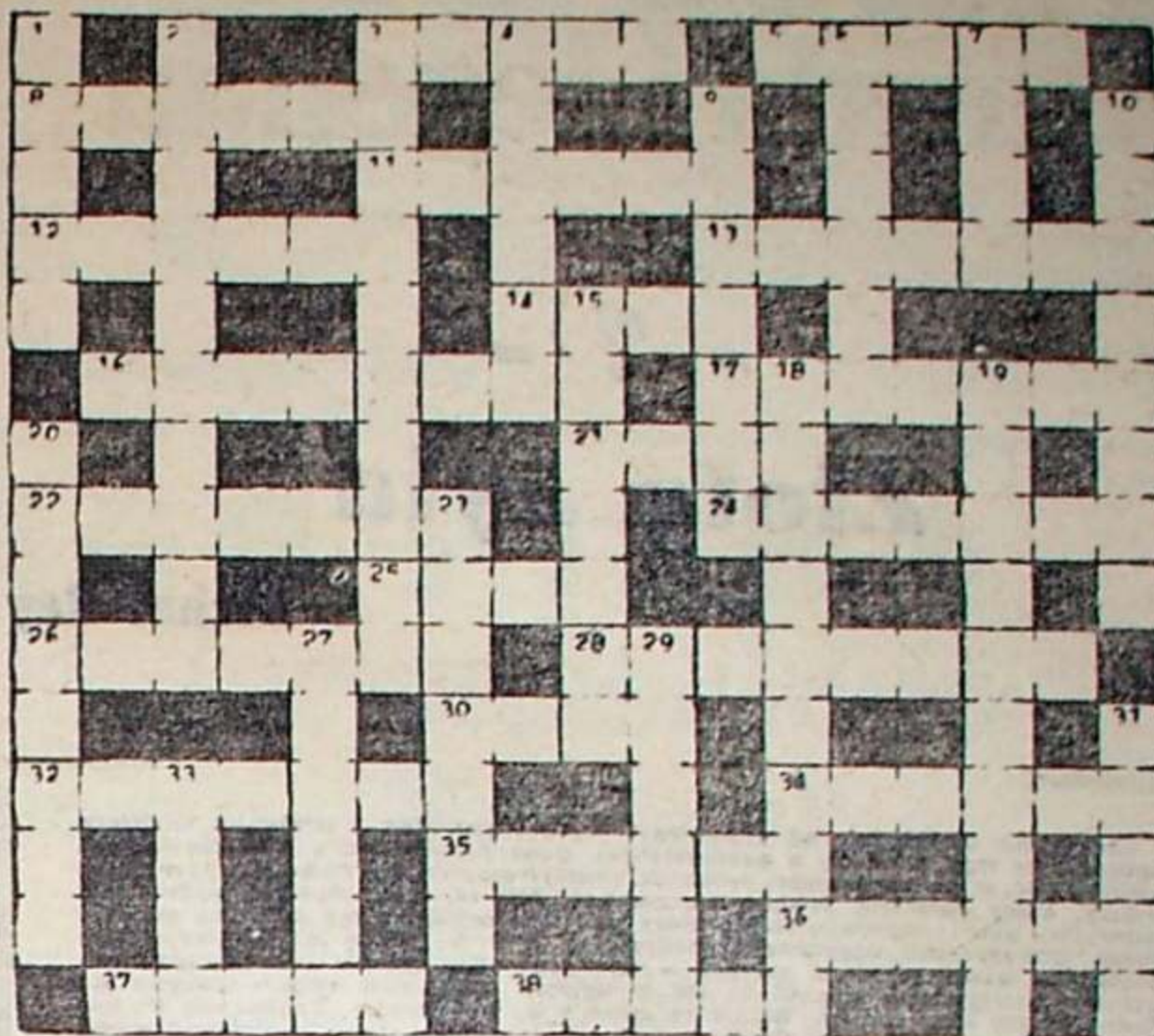
— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???

— Tak... Raz dyżurowałem w teatrze Châtelet. Musiałem wysłuchać całej sztuki d'Annunzia do końca. Przyzna pan, że miałem prawo zemścić się...

— ???



Podzłomo: 2. poeta polski, autor zbioru „Serce granatu”, 5. numizmatyczne znalezisko, 8. splotanie urodzajnych warstw gleby 11. trwała kiełbasa 12. handlarze biletami, 13. między kwasem i alkoholem, 14. legendarny warszawski rybak, 16. specjalność Passenta i KTT 17. średnica lufy, 21. składnik kosmetyków o zapachu fiołków, 22. opiekun zbiorów muzealnych, 24. zaczyna „Piosenka Parasola”, 25. czubaty piak z gór Nowej Kaledonii, 26. powstają tam wuefemki, 28. kabina kierowcy, 30. znany filmowy aktor polski kiedyś mistrz Lubelszczyzny w kolarstwie 32. dział chorób wewnętrznych 34. wytwórnia piwa 35. poemat Majakowskiego, 36. niebiesko-zielony kamień ozdobny, 37. święte księgi islamu, 38. ojczyzna Minosa i Ariadny.

Podzłomo: 1. cel niegrzynek muzulmanów, 2. współczesny pisarz polski, naczelny redaktor jednego z tygodników, 3. współczesny pisarz polski, szef jednego z wydawnictw, 4. stop odlewniczy żelaza z węglem, 5. nierasowy pies, 7. następuje w czasie i przestrzeni, 9. aparat do przeczyszczenia, 10. współczesna pisarka polska, autorka dramatów i scenariuszy historycznych, 15. zapal. werwa, 18. nie czyta i nie pisze, 19. reżyser filmowy twórca pierwszych powojennych polskich filmów fabularnych, 20. begonia 21. cotygodniowe w Toto Lotka, 27. chilijski laureat Nagrody Nobla i Nagrody Lenińskiej, zamordowany przez faszystów 29. miasto na Górnym Śląsku, 31. zdominowały Niemcy, 32. utwór na trzy instrumenty.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy boni książkowy za 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 23

Podzłomo: mecenas, Beckett, rozum, zapas, Kilar, Rzew, kurs, arabski aparat, Tabaco, car, kij, Noskowski set, osa, prezes, szeryf, tkaczka, nuta swar, Ruhra, kryza, galop, alkarar, sarkarm.

Podzłomo: Mauriac, Ezaw, Ararat, sos, buk, emirat, Krak, Tolstoj zegar, rumak, Karłowicz, stółek, barkoza, paser, ślony, Spinoza teatr, Orawa, aforyzm, Skorza, skarpa, aura, szyk, Aar kos. Nagrodę otrzymuje Stanisław Kowalczyk, ul. Paganiniego 4 m. 143, 20-954 Lublin.

UWAGA
CZYTELNICY

W związku z wyjazdem do Włoch na urlopowości związane z zakończeniem kariery piłkarskiej przez Dino Zoffa, swego kolegi i przyjaciela, Jan Tomaszewski nie zdążył przekazać nam kolejnej „porcji” wspomnień. Stąd — przerwa w cyklu...

(RED.)

Odpowiadamy na listy: Jak zaprenumerować „Kamień”?

Otrzymujemy wiele listów z prośbą o przysłanie starych numerów „Kamienia”. Niestety, nie jesteśmy w stanie nic zrobić, bo kolportaż znajduje się w gestii „Ruchu”.

RADZIMY WSZYSTKIM, a zwłaszcza tym, którzy mieszkają poza Lubelszczyzną w jej dawnych granicach, aby „Kamień” ZAPRENUMEROWALI. W przyszłym roku pismo przekształci się w tygodnik, sądzimy, że każdy znajdzie w nim coś dla siebie. Nie zapomnijmy również o naszych młodych Czytelnicach i Czytelniczkach, interesujących się sportem i wielkim obszarem rozrywek młodzieżowych.

Cena prenumeraty kwartalnej wyniesie 195 zł, półrocznej — 390 zł, a rocznej — 780 zł.

A oto szczegółowe warunki prenumeraty:

- dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy:
 - instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch”, zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach;
 - instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch” i na terenach wiejskich, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

- dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów:
 - osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

— osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch”, opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „błankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa—Książka—Ruch”;

- prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch”. Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153 — 201045—139—11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę oerta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zlecających indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMINY PRZYJMOWANIA PRENUMERATY NA KRAJ I ZA GRANICĄ:

- do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny,
- do dnia 1-go każdego m-ca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasinski (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Piasecki, Waldemar Stepień (fotoreporter), Redaktor techniczny — Ewa Dybek, Korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty w sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątek w godz. 14—16.
Wydawca: Robotnicze Spółdzielnie Wydawnicze RSW „Prasa—Książka—Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 8, tel. 255-30.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PEWN w Lublinie, ul. Unicka 4.
Adres redakcji: 20-950 Lublin, ul. Skłodowskiej 47.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-31, sekretarz redakcji 255-92, dział publicystyki i literacki 273-35.
Korespondencje szybko prosimy kierować pod adresem 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

BRUCE LEE: prawda i legenda

- 7 -

Złota żyła

Michał Rey

Zaczynamy tradycyjnie od odpowiedzi. Listów, sygnałów i telefonów mieliśmy sporo. Były dwa kontakty z nauczycielami. Pana Janusza R. z Tomaszowa (nazwisko i adres do wiadomości redakcji) oburzył zacytowany dowcip o dyrektorze szkoły, który twierdził, że jest Bruce'em Lee. Jest to, jego zdaniem, podważanie autorytetu nauczycielskiego stanu, który „do tego ogłupiającego zjawiska ma stosunek jednoznacznie negatywny”. Oczywiście, p. J. R. może tak uważać; cudzą poglądy — nawet różne od naszych — szanujemy. Czy jednak nasz Czytelnik-nauczyciel rzeczywiście wypowiada się w imieniu wszystkich swoich kolegów po fachu, to już inna sprawa. Bo... i tu może o innym sygnale. Zadzwoń do nas nauczycielka tubetska, pani Grażyna B., i zaproponowała, żeby zamieścić wśród młodzieży akcję gromadzenia funduszy na... zakup kolejnych obrazów filmowych s „Małym Smokiem”: przekonywała nas, że chętnych by nie zabrakło. Prosiła także o udostępnienie jej klasie adresów fanclubów Bruce'a Lee. Jest to przykład nieco innej postawy wychowawczej niż pana J. R. Lansowac jej, niestety, nie będziemy (poprzedniej zresztą też nie), bo wydaje nam się, że młodzież i dzieci mogą wydać oszczędności na kilka innych rzeczy. Ponadto zaś zakupy filmów związane są zwykle z dolarami, jeśli filmy pochodzą z tamtego obszaru płatniczego. A epopeje Bruce'a — pochodzą...

Prosimy nas młodzi Czytelnicy o nadsyłanie im brakujących odcinków cyklu. Ponieważ listów i telefonów takich było bardzo dużo, skloniliśmy „Ruch” do nieprzeznaczania na makulaturę zwrotów „Kamery” z okresu kanikuly (b. nielicznych zresztą), a ponowne skierowanie ich do kiosków. Zapewne w jakimś stopniu to zaspokoi Wasze potrzeby.

Zołnierzy służby zasadniczej (personalia do naszej wiadomości) z Lublina z niepokojem dopytywał się, czy prawidłowo podaliśmy, że Bruce Lee miał dwóch synów. W jednym z óródeł, z których korzystam, istotnie taka informacja się pojawiła. Po zainteresowaniu się bliżej sprawą, okazało się, że inne óródeła mówią o synu i córce. Jest to jeszcze jeden przyczynek do mówienia właśnie o prawdziwie i legendzie Bruce'a Lee. Dlatego, przypominając o tym, prosimy nie traktować naszego cyklu jako zbioru prawd objawionych, a jedynie oróbe (i zbliżenia się do rzeczywistego obrazu idola.

Niestety, nie możemy spełnić próób o fotesy Bruce'a Lee, których dotyczy co drugi list. Nie wykluczamy natomiast obdarowania nimi uczestników naszego konkursu na wypowiedź pn. „Dlaczego Bruce Lee?”, który trwa nadal. Przypominamy, że obok miejsca na łamach „Kamery” czekają także nagrody pieniężne.

PO filmie „Droga Smoka” („The Way of Dragon”) gazeta hongkongijska „China Mail” na pierwszej stronie pisała, że „Droga Smoka” jest drogą Bruce'a Lee tylko w jednym kierunku: do sławy i zwycięstwa. Również singapurskie mass media nie pozostawały gorsze. „Singapore Sunday Times” twierdził, że Lee rzucił tym filmem na kolana Hollywood. TV Hongkong łapała na ulicy ludzi za rękaw i odpytywała z treści filmu oraz z tego, co sądzą o nowym bohaterze „Pachnącej Wyspy”. Feta trwała...

Linda Lee:
— (...) Bez przerwy gdzieś go zabierano. Na jakieś bankiety, przyjęcia, konferencje prasowe, do radia i telewizji. Przychodził do domu wyczerpany psychicznie, zmęczony. Mówił, że jest dumny, iż jest Chińczykiem, że czuje się potrzebny swoim rodakom, ale i to, że jest tym wszystkim zmęczony, że brakuje mu czasu dla siebie: na lekturę, medytację, a nawet na treningi (...)

Płacił więc Bruce cenę popularności. Jednocześnie, nie chcąc jej łatwo dyktować, co było nieludne, zaczął szukać innych dróg do podniesienia poziomu produkcji filmowych ze swoim udziałem. Mit i magia Hollywood towarzyszyły mu bez przerwy. Fakty zdają się przemawiać za tym, iż mimo swolitego nacjonalizmu, Hongkong nie był celem, a jedynie etapem drogi „Małego Smoka”. Mimo holdów i pieniędzy, nigdy nie mógł się do końca dogadać z producentami chińskimi (bracia Show), żona czuła się na wyspie obco, brakowało amerykańskich przyjaciół. Dawaly znać o sobie stresy wynikające z „podwójnego wżehowania”: amerykańskiego i chińskiego, zachodniego i wschodniego. Bezkonfliktowa recepcja wzorów kulturowych, standardów życiowych tak od siebie różnych stawała się niemożliwa.

Co robi Bruce Lee? Skoncentrujmy się na sprawach filmu, bo to jest materia bardziej obiektywna niż stany ducha i sytuacje rodzinno-towarzystkie. Po sukcesie kasowym i prestiżowym „Drogi” Raymond Chow (małacy w duecie Lee-Chow lepsza głowa do interesów) wraca do sprawy uruchomienia niezależnej spółki produkcyjnej o nazwie Concord Film Studio Ltd.,

która byłaby własnością obu dżentelmenów i zupełnie niezależną ich od braci Show (współpartycypujących w Golden Harvest Ltd.). Po dyskusjach i przemyśleniach okazuje się jednak, że finanse ich są jeszcze zbyt skromne na podjęcie takiego wysiłku. Decydują się więc jeszcze poczekać i na razie zrealizować nowy szlagier Bruce'owi jest bardzo pilno do pracy. Rozpoczynają się poszukiwania odpowiedniego scenarzysty, a także rozmowy z wytwórcią hollywoodzką Warner Bros na temat koprodukcji.

Podczas wizyty w USA Bruce'owi przychodzi do głowy pomysł zagrania razem z Kareemem Abdul Jabbarem, potężnie zbudowanym, słynnym koszykarzem amerykańskim, zwolennikiem Jeet Kune Do. Na ekranie mieli być przeciwnikami. Scenariusz zostaje szybko napisany przez Iana Spearsa. Równie szybko daje się znaleźć reżysera Roberta Clouse, dwukrotnego (bezskutecznie) kandydata do Oscara. Zostaje także zaangażowany Danny Inosante, również doskonały fighter JKD i bliski przyjaciel Bruce'a.

W ciągu 15 dni zostaje zrealizowanych sporo ujęć, przede wszystkim walk. Do dziś uchodzą one za najlepsze, jakie Bruce nakreślił. Zdjęcia zostają jednak... przerwane i rozpoczynają się nowe poszukiwania. Film, chwilowo odłożony na półkę, nosi tytuł „Gra śmierci” („The Game of Death”).

W wyniku kolejnych pertraktacji zapada decyzja o kręceniu innego obrazu: dalszej części przygód Smoka. Tytuł „Wejście Smoka” („The Enter of Dragon”). Reżyser ten sam. Współpartnerem ma być John Saxon, dobry aktor, ale mający mało do czynienia z walkami wschodnimi. Okazuje się jednak, że Saxon jest pojętym uczniem i szybko opanowuje podstawy JKD. Usuwają początkowe obawy Bruce'a Lee, co do udziału Saxona w filmie. W tym miejscu warto zauważyć, iż Chuck Norris udanie występujący z Bruce'em w „Drodze Smoka” nie mógł uczestniczyć w realizacji „Wejścia” z powodu innych umów. Początkowo Lee chciał poczekać na wywiązanie się Norrisa ze zobowiązań, ale później zdecydował się na szybką realizację nawet bez niego. Raymond Chow:

— (...) Bruce sprawił wrażenie poirytowanego, spieszącego się gdzieś. Mówił, że możemy przeczekać trochę, że nie ma nam do przodu, jak koń wyścigowy. Za wszelką cenę chciał

szybko kręcić ten film. Dżwone też było, że w styczniu 1973 roku ubezpieczył się na życie na 500 000 dolarów. Była to kwota wysoka i agencja ubezpieczeniowa interesowała się przyczynami, dla których Bruce się ubezpiecza. O tym ubezpieczeniu wiedziało tylko grono najbliższych osób (...)

Już po śmierci „Małego Smoka” fakt owego ubezpieczenia będzie różnie komentowany i da powody do najrozmaitszych legend. Na razie zauważmy, że takie ubezpieczenie zostaje zawarte i jego nierzykłość nie polega na tym, że ubezpiecza się aktor oraz że ubezpiecza się wysoko (bo jest to nawet pewien styl hollywoodzki, do którego tak tesknili Lee), ale na tym, że robi to Bruce Lee, symbol witalności, energii, życia oraz że robi to w tajemnicy. Coś jest nie tak...

Zdjęcia do „Wejścia” rozpoczynają w kwietniu 1973 roku 10 maja do pokoju w studiu filmowym, gdzie przebywał Raymond Chow wpada około godziny 11.30 pracownik i krzyczy, że trzeba szybko wzywać lekarza do Bruce'a. Chow nie pyta o nic. Dzwoni do szpitala baptystów i szybko biegnie na plan.

— Zastaliśmy go leżącego na jakimś pleidle. Trząsł się cały, najbardziej zaś prawe ramię. Oczy miał otwarte, ale był nieprzytomny. Za chwilę przybiegła sekretarka i powiedziała, że doktor Longford nie może przyjechać, bo nagły przypadek i żeby wieść Bruce'a do szpitala. Zabrałiśmy Bruce'a i powiadomili Lindę (...). Po półtoragodzinnych zabiegach odzyskał świadomość. Najpierw poruszył gwałtownie głowę i otworzył oczy. Dawal nimi znaki mrugając, ale nie nic nie mówił. Linda zapytała, czy ją słyszy i poprosiła, żeby dał znak oczami. Kiedy je przymknął, odetchnęliśmy z ulgą. Następnie Linda spytała, czy ją poznaje. Też dał pozytywny znak. Potem spytałem o to samo ją. Za chwilę zaczął bardzo wolno mówić po angielsku i z trudem. Po następnych dwóch godzinach doszedł do siebie na tyle, że mówił płynnie i chciał wstawać z łóżka. Przewieźliśmy go do innego szpitala, na oddział neurologiczny. Doktor Peter Woo chciał wykonać mu kontrastowe prześwietlenie mózgu, ale Bruce się na to kategorycznie nie zgodził i z dużym trudem dał się namówić na badanie encefalograficzne (EEG). Zartował przy tym, że nie mu nie jest (...). Potem polecieliśmy z nim do Los Angeles, gdzie badał go zespół doktora Williama Reisharda. Postawił on diagnozę, że przyczyną zasłabnięcia i czasowej utraty przytomności był skurcz o charakterze epileptycznym. Bruce otrzymał też lek o nazwie „Dilantin”, który miał regularnie zażywać (...). — relacjonował Raymond Chow.

Rehabilitacja nie trwała długo. Pod koniec maja 1973 roku Bruce znowu jest na planie i nie sprawia wrażenia chorego, czy nawet mniej sprawnego fizycznie.

Jeszcze w czasie realizacji „Wejścia” — zapewne dzięki reklamie wytwórni Warner Bros — Bruce Lee atakowany jest przez inne wytwórnie hollywoodzkie zabiegające o współpracę lub pozyskanie go dla siebie. I tak Metro-Goldwyn-Mayer chce kręcić film z Bruce'em Lee i Elvise'em Presley'em. Carlo Ponti „widzi” go u boku swojej żony (naturalnie tylko w filmie) Sophii Loren. Sa propozycje z 20-th Century Fox, gdzie miałby zagrać wraz z Jamesem Coburnem. Wszystkich „przebijają” jednak wytwórnia Warner Bros, która współpracuje z „Wejście Smoka”. widzi, że ma w ręku (lub może mieć) tyle złota. Propozycja brzmi: w zamian za przyjęcie do realizacji jednego z pięciu zaproponowanych scenariuszy filmowych będziemy ci płacić 100 000 dolarów za każdy rok twego życia (ewentualnie po śmierci, za każdy rok życia Lindy). Jest to na ówczesne czasy rewelacja!

Ale czy tylko? Czy przypadkiem producent — wiedząc (skąd?) o ubezpieczeniu i o ataku choroby — nie chciał za wszelką cenę zdobyć Bruce'a choć na jeden film? Była to propozycja jakby od razu zakładała możliwość szybkiej śmierci idola i stała się rzecz niespodziewana dla nikogo. „China Mail”, dnia 28 czerwca 1973 roku dała na pierwszej stronie wielki tytuł: „Bruce Lee przyjmuje supercażę!” Aktor mówi dziennikarzowi: „Całkiem szczerze muszę powiedzieć, że ta propozycja bardzo mnie interesuje. Daje mi pewność na całe lata i upraszcza płacenie podatków, a nie wyklucza możliwości współpracy z innymi studiami filmowymi”.

Kiedy mówi te słowa, jego życie liczy się już tylko na dni. Czy to przeczuwał?



Repr. M. Hag

(ciąg dalszy nastąpi)